

RODZINA

TYGODNIK

NR 46 (489) WARSZAWA, 16.XI.1969 R. CENA ZŁ 2

KATOLICKI



UTWORZENIE GRUP ROBOCZYCH DLA MIĘDZYNARODOWEGO KONGRESU STAROKATOLIKÓW

Informowaliśmy już, że w dniach 8—13 września br. odbyła się 12 Międzynarodowa Starokatolicka Konferencja Teologów w Bonn, w czasie której przyjęto siedem „tez w sprawie zagadnienia prymatu”. Poza tym utworzono grupy robocze dla czterech sekcji 20 Międzynarodowego Kongresu Starokatolików, który odbędzie się we wrześniu przyszłego roku w Bonn. Kierownikiem I sekcji „Wiara w wolności i odpowiedzialności” jest prof. dr K. Stadler (Szwajcaria); kierowniczką II sekcji „Naśladowanie Chrystusa w czasach dzisiejszych” jest pani dr E. Kreuzeder (Austria); kierownikiem III sekcji „Żywe oddawanie czci Bogu” ks. doc. K. Pursch (NRF); kierownikiem IV sekcji „Urząd duchowny — dojrzały chrześcijanie” doc. dr J. Visser (Holandia).

MIĘDZYNARODOWA STAROKATOLICKA KONFERENCJA BISKUPÓW

W Międzynarodowej Starokatolickiej Konferencji Teologów wzięło udział około 40 biskupów starokatolickich i teologów z Holandii, NRF, Szwajcarii, Austrii, Czechosłowacji, Francji i z Polskiego Narodowego Kościoła Katolickiego w Stanach Zjednoczonych AP i Kanadzie. Biskupi wymienionych krajów, pod przewodnictwem arcybiskupa Utrechta — dra Andrzeja Rinkla, odbyli w dniach od 11 do 13 września br. Międzynarodową Starokatolicką Konferencję Biskupów.

Przewodniczący Konferencji, ks. arcybp Rinkel poinformował, że stanowisko Starokatolickiej Konferencji Biskupów wobec planów unijnych anglikańsko-metodystycznych spotkało się z pozytywnym przyjęciem. Kierownicy Komisji do spraw dialogu starokatolików z rzymskokatolikami z Holandii, NRF, Szwajcarii i Austrii poinformowali o dotychczasowych wynikach swej pracy.

Przedstawiciele Konferencji otrzymali zaproszenie Patriarchy ekumenicznego Athenagoras do zintensyfikowania dialogu z prawosławnymi Kościołami Wschodu. Duże zainteresowanie wzbudziły sprawozdania z sytuacji kościelnej w USA i Kanadzie, Polsce, Czechosłowacji i we Włoszech.

Zagadnienia PNKK w Ameryce, Kanadzie i Polsce referował pierwszy biskup PNKK — ks. dr Tadeusz Zieliński, w Czechosłowacji ks. biskup A. Podolák, sprawozdanie z działalności starokatolickiej misji we Włoszech wygłosił biskup Urs Kury.

Poza tym omówiono szczegółowo tematy 20 Międzynarodowego Kongresu Starokatolików, który odbędzie się w przyszłym roku.

WYWIAD PRASOWY BISKUPA STAROKATOLICKIEGO

J. Brinkhues — biskup Kościoła Starokatolickiego w NRF udzielił 5 października br. wywiadu Ewangelickiej Służbie Prasowej. Stwierdził on m. in., że w parafiach starokatolickich Niemieckiej Republiki Federalnej dyskutuje się intensywnie zagadnienia liturgii, odpowiedzialności laików w Kościele i przyszłej struktury Kościoła. Jego zdaniem, najbliższy synod Kościoła Starokatolickiego w NRF, który odbędzie się w 1971 r., przyczyni się do „rozwoju nowej aktywności”.

W centrum obecnych rozważań starokatolików znajduje się zagadnienie: „Czego można dokonać dla jedności chrześcijan w Niemczech”. Tak więc grupa robocza złożona z przedstawicieli starokatolickiego Kościoła w NRF i katolików rzymskich, która w międzyczasie została oficjalnie ukonstytuowana, zajmuje się problemem „zmodyfikowanej interkomunii”.

PATRIARCHA JUSTYNIAN ODWIEDZI STAROKATOLIKÓW W NRF

W listopadzie br. ma przybyć do Niemieckiej Republiki Federalnej Patriarcha Rumuńskiego Kościoła Prawosławnego — Justynian. W czasie odwiedzin ma on być także gościem starokatolickiego biskupa Brinhuesa w Bonn.

BISKUP WĘGIERSKI KRYTYKUJE ŚWIATOWĄ RADĘ KOŚCIOŁÓW

W węgierskim tygodniku luteranckim „Evangelikus Elet” ukazał się niedawno wywiad prasowy ks. dra Zoltana Kaldy — biskupa naczelnego Kościoła Ewangelicko-Luteranckiego na Węgrzech, w którym krytykuje on Światową Radę Kościołów. Nawiązując do posiedzenia Komitetu Naczelnego SRK w Canterbury w sierpniu br., Kaldy powiedział, że powstaje wrzące

nie, jak gdyby w Światowej Radzie Kościołów zapomniano, iż „rozwoj jest tylko jedną drogą prowadzącą do postępu gospodarczego i społecznego; istnieją jednak obszary, które nie potrzebują rozwoju, lecz przemian rewolucyjnych, ponieważ górę wzięła tam niesprawiedliwość. Jeśli Światowa Rada Kościołów nie weźmie tej możliwości pod uwagę, to przeżyje jeszcze niejedno zaskoczenie”.

Innym punktem krytyki bpa Kaldy jest „problem rzymskokatolicki”. „Wydaje mi się, że w Światowej Radzie Kościołów wielu forsuje bezpośrednio jedność z Kościołem Rzymskokatolickim. Jestem, oczywiście, też za zbliżeniem między wyznaniami, jednakże forsowanie tego zbliżenia doprowadzi raczej do rozdziału niż do porozumienia”.

KRYTYKA RZYMSKOKATOLICKIEJ DZIAŁALNOŚCI MISYJNEJ

Prof. Wilhelm Niesel — prezydent światowego Aliansu Kościołów Reformowanych odbył niedawno siedmiodniową podróż do wysp indonezyjskich, w czasie której odwiedził Kościoły członkowskie Aliansu. W wywiadzie prasowym udzielonym 2 października br. zwrócił on uwagę na działalność misjonarzy rzymskokatolickich na terenach Indonezji, których mieszkańcy należą do Kościoła protestanckiego. Misjonarze ci budują tam szkoły i kliniki oraz rozdają darmo lekarstwa, sprzęt rolniczy i ubrania. Np. na wyspie Timor, przez tego rodzaju metody „werbowania” nowych katolików rzymskich, tamtejszy Kościół protestancki utracił około 10 tysięcy wyznawców. Niesel zapowiedział, że zagadnienie to zostanie poruszone w czasie najbliższego spotkania z przedstawicielami Kościoła Rzymskokatolickiego.

EKUMENICZNA KONFERENCJA ŚWIATOWA W SPRAWIE TURYSTYKI

W Ewangelickiej Akademii w Tutzing (NRF) zakończyła się 2 października br. Konferencja Światowa w sprawie Turystyki i Wolnego Czasu, zorganizowana przez Światową Radę Kościołów. Wzięło w niej udział 60 przedstawicieli z 20 krajów świata. Wszyscy uczestnicy Konferencji byli zgodni co do tego, że turystykę należy uważać za ważny czynnik w życiu współczesnego człowieka. Podczas gdy teologia przez długi czas wyżej ceniła pracę, to dziś trzeba uznać, że właśnie czas wolny i turystyka może nadać życiu nowy i wzbogacający wymiar. Z drugiej strony trzeba się liczyć jednak z pewnymi niebezpieczeństwami, jakie grożą człowiekowi z powodu wzrostu znaczenia wolnego czasu w jego życiu.

POSIEDZENIE EKUMENICZNE W SPRAWIE POMOCY UCHODźCOM NA BLISKIM WSCHODZIE

Oddział Pomocy Międzykościelnej Światowej Rady Kościołów i Kościoły Bliskiego Wschodu zorganizowały w pierwszych dniach października br. na Cyprze sześciodniową konferencję w sprawie pomocy uchodźcom z terenów okupowanych przez Izrael. Wzięło w niej udział 100 delegatów przeważnie z Bliskiego Wschodu. Poza tym w konferencji uczestniczyli przedstawiciele Kościołów i kościelnych organizacji pomocy z 12 innych krajów.

Uczestnicy Konferencji wydali oświadczenie, w którym apelują do Kościołów świata, by wyteżyły wszystkie siły na rzecz „sprawiedliwego rozwiązania” problemu uchodźców Bliskiego Wschodu tj. na rzecz rozwiązania, „które koniecznie musi uznać także prawa Palestyńczyków”. Tylko takie rozwiązanie może zapewnić trwałą pokój.

TRUDNA SYTUACJA W KOŚCIELE PRAWOSŁAWNYM GRECJI

Według danych Świętego Synodu Kościoła Prawosławnego Grecji, ponad 1000 parafii nie ma duszpasterzy. Synod zwrócił się dlatego ponownie do młodzieży greckiej, a zwłaszcza do studentów teologii z apelem, by poświęcili się stanowi kapłańskiemu. Po podobnych apelach w latach 1967 i 1968 święcenia kapłańskie przyjęło 150 młodych ludzi.

KOŚCIOŁY EWANGELICKIE Z OKAZJI 20-LECIA NRD

Kościoły ewangelickie w Niemieckiej Republice Demokratycznej uczciły 5 października br. okolicznościowymi nabożeństwami 20 rocznicę powstania państwa. Opracowano specjalny tekst modlitwy, w którym czytamy: „Boże, pomóż poznać to, co naszemu ogólnemu dobru służy, u mocniej wszelką dobrą wolę, chroń przed wszelkimi niebezpieczeństwami od wewnątrz i zewnątrz”.

Jeden z artykułów, opublikowany w prasie ewangelickiej z okazji oficjalnych obchodów 20-lecia NRD powiada, że naśladowanie Jezusa ma również „aspekt socjalistyczny. Idzie o człowieka a przez to o społeczeństwo ludzkie. Człowiek, uwolniony i odnowiony przez Chrystusa, kieruje się w stosunkach międzyludzkich miłością służebną. Nasz wkład do pokoju w świecie jest służbą pokojową pojednania. Nasza odpowiedzialność za ludzkość ma źródło w naśladowaniu Jezusa”.



MEMORANDUM „O WSPÓŁCZESNYM STANIE STOSUNKÓW

Prof. dr Urs Küry — biskup starokatolicki Chrześcijańsko-Katolickiego Kościoła Szwajcarii, z polecenia Międzynarodowej Starokatolickiej Konferencji Biskupów, opracował Memorandum „O współczesnym stanie stosunków prawosławno-starokatolickich”, którego tekst został niedawno opublikowany przez starokatolicki biuletyn prasowy. Memorandum to jest skierowane do Patriarchów i zwierzchników Kościołów Prawosławnych. Uważamy, że zasługuje ono na bliższe omówienie.

Na wstępie Memorandum przypomina, że już w czasie I Międzynarodowego Kongresu Starokatolików w Monachium w 1871 r. starokatolicy złożyli formalne oświadczenie: „spodziewamy się zjednoczenia z Prawosławnym Kościołem Wschodu”. Podczas Konferencji w Bonn w 1874 i 1875 r. „doszło pomiędzy teologami prawosławnymi i starokatolickimi w istotnych punktach do daleko idącego jak na owe czasy zbliżenia, które pozostało jednak bez wpływu na oficjalne stosunki kościelne”. W

stosunkach prawosławno-starokatolickich nierozstrzygnięte zostały w zasadzie trzy punkty: filioque, tj. czy Duch św. pochodzi tylko od Ojca (jak głoszą prawosławni) czy od Ojca i Syna (jak głosi Kościół Rzymskokatolicki); nauka o Eucharystii i ważność starokatolickich święceń.

Memorandum wspomina następnie wypowiedź profesora prawosławnego St. Zankowa na Kongresie Starokatolików w Bernie w 1925 r., który stwierdził, że niektóre sporne punkty są w zasadzie rozstrzygnięte, ponieważ starokatolicy usunęli na przestrzeni ostatnich lat z Wyznania Wiary filioque, a w granicach możliwości prawosławnej hierarchii leży uznanie starokatolickich święceń.

Spotkanie teologów prawosławnych i starokatolickich w Bonn w 1931 r. doszło do wniosku, że istnieją dalekie zbliżenia w nauce. Dlatego teolodzy prawosławni wyrazili życzenie, aby „możliwie szybko wprowadzić interkomunię” z starokatolikami. Memorandum podkreśla, że i to życzenie nie zostało spełnione. Latem tego samego roku zawarto w Bonn ugodę interkomunią pomiędzy starokatolikami a anglikanami.

Uгода ta była powodem poważnych zastrzeżeń ze strony prawosławnej, co ujawniło się jeszcze w 1966 r. na Ogólnoprawosławnej Konferencji Teologów w Belgradzie. „Nie ukrywamy — głosi Memorandum — że sprawozdanie, które ukazało się w prasie w sprawie konferencji belgradzkiej było dla

nas — starokatolików bolesnym rozczarowaniem”. W takiej sytuacji wyrażamy życzenie, „ażeby możliwie szybko doszło do wspólnego posiedzenia prawosławnej i starokatolickiej komisji unijnej celem uzyskania lepszej obustronnej informacji”.

W następnym paragrafie Memorandum wyjaśnia, że starokatolicy zdecydowali się dopiero w 1925 r. „po długich badaniach i poważnych debatach”, uznać ważność święceń anglikańskich, a tym samym katolickość Kościoła Anglikańskiego. „Gdy okazało się, że jedność z prawosławnymi natrafiała ciągle na nowe trudności, a Starokatolickiemu Kościołowi na Zachodzie coraz bardziej zagrażała izolacja, wypłynęła wtedy konieczność zawarcia ugody interkomuniijnej”.

Memorandum uważa, że interkomunia z Kościołem Anglikańskim posiada mocne, szerokie i tkwiące w starożytnym Kościele uzasadnienie teoretyczne. Ma ona także dla Kościoła Starokatolickiego wielkie praktyczne znaczenie o charakterze eklezjologicznym. Memorandum przytacza tutaj opinię starokatolickiego biskupa E. Herzoga, który powiedział, że „dla nas starokatolików faktyczna interkomunia jest potwierdzeniem, że nie istniejemy w świecie jako mała odizolowana sekta”. Poprzez wspólne z anglikanami powoływanie się na tradycję starożytnego, niepodzielonego Kościoła, mają starokatolicy realny udział w Jedynym, Świętym, Katolickim i Apostolskim Kościele.

Problemy moralne

Czy każdy rozwód jest grzechem?

Wetyce chrześcijańskiej istnieją problemy moralne, których rozwiązanie nie nasuwa żadnych wątpliwości, np.: wiadomo, że morderstwo, kradzież, obmowa, oszczerstwo, cudzołóstwo jest złem moralnym, jest grzechem. Nie ma więc większych trudności w ocenie tych czynów. Ale są też inne problemy, niełatwe do rozstrzygnięcia, dopuszczające możliwość różnorodnej interpretacji tak, że rozwiązanie problemu i znalezienie jednoznacznej nań odpowiedzi, jest sprawą trudną, a niekiedy wprost niemożliwą.

Do takich zagadnień należy, między innymi, sprawa nierozzerwalności związku małżeńskiego, a wraz z nią sprawa dopuszczalności rozwodów. Zajęcie w tej sprawie określonego stanowiska z chrześcijańskiego punktu widzenia, aby następnie odpowiedzieć

na pytanie: czy każdy rozwód jest grzechem?, wymaga uprzedniego naświetlenia problemu nierozzerwalności związku małżeńskiego z różnych stron.

Tak samolot nieprzyjacielski, śledzony tylko jednym reflektorem w ciemnościach nocy, łatwo może umknąć, lecz wzięty w „krzyżowy ogień” kilku reflektorów, staje się łatwym celem dla bijących weń dział obronnych.

W Księgach Starego Testamentu, opowiadających o pierwszym związku małżeńskim Adama i Ewy, małżeństwo było pomyślane jako związek monogamiczny i trwały. Gdy Pan Bóg postawił przed Adamem, jak barwnie opowiada o tym księga rodzaju — jego żonę, Adam powiedział: „to dopiero jest kością z moich kości i ciałem z mego ciała; ta będzie się zwała niewiastą, bo ta z mężczyzny została wzięta. Dlatego to mężczyzna opuszcza ojca swego i matkę swoją i łączy się ze swą żoną tak ściśle, że stają się jednym ciałem.” (Roz. 1, 23—24)

Jednakże ani monogamia, czyli związek jednego mężczyzny z jedną kobietą, ani nierozzerwalność małżeńska, nie przetrwały w narodzie izraelskim zbyt długo. Dowiadujemy się z innych ksiąg Starego Test., że najlepszy, przez Boga umiłowany Patriarchowie, królowie: Abraham, Jakub, Dawid, Salomon mieli wiele żon i jeszcze więcej nałożnic. Odnajdujemy także w Księgach Powtórzonego Prawa normę prawną zezwalającą na rozwód: „Jeśli mężczyzna pojmie kobietę, aby być jej mężem, lecz ona nie pozyska łaski w jego oczach, gdyż on znalazł w niej coś odrażającego, napisze jej akt rozwodowy, wręczy go jej, potem odesła ją od siebie” (Powt. Prawa, 24, 1).

W tłumaczeniu Biblii przez Ks. Wujka słowa „coś odrażającego” zostały określone nieco inaczej: „dla jakiejś obrzydliwości”. Rabinowie żydowscy interpretowali te słowa roz-

maicie, jedni uważali, że „obrzydliwość” oznacza zdradę małżeńską która całkowicie usprawiedliwia rozwód; inni, o nastawieniu liberalnym, pod słowem „coś odrażającego”, „obrzydliwość”, rozumieli wszelką przyczynę rozwodu. W myśli ich tłumaczenia mąż mógł oddalić żonę, jeśli mu się coś w niej nie podobało, gdy znalazł w niej coś odstręczającego, czyli z jakiegokolwiek powodu, np. gdy przypaliła zupę lub chleb, albo gdy się mężowi podobała kobieta inna, młodsza od żony. Jest rzeczą jasną, że taka interpretacja prawa, doprowadziła do licznych rozwodów i spowodowała chaos w dziedzinie moralności.

Należy zaznaczyć, że tak błahie przyczyny rozwodów i w ogóle rozwody jako takie, nie znalazły aprobaty proroków i bardziej surowych moralistów Izraela. Nie uważano bynajmniej rozwodów za rzecz chwalebną i godną poparcia. W sposób szczególnie zwalczali rozwód prorocy Ozeasz i Malachiasz, czyniąc to z czysto moralnego i religijnego stanowiska, nie wchodząc w prawniczą stronę zagadnienia. Pokrywaliście łzami ołtarz Pański, płaczem i wrzaskiem... I rzekliście: „Dla jakiej przyczyny?” Bo Pan świadczył między tobą i żoną młodości twojej, którą tyś wzgardził, a ona była uczestniczką twoją i żoną przymierza twego... Strzeż ducha twego, a żoną młodości twojej nie gardź!” (Mal. 2, 13—15). Choć więc moralnie nie aprobowano rozwodów, to jednak prawo zezwalało na nie, gdyż prawo liczy się bardziej z rzeczywistością konkretną i prawodawca, aczkolwiek niechętnie, musi tę rzeczywistość uznać.

W Nowym Testamencie, Jezus Chrystus, jako Prawodawca chrześcijaństwa, przeciwstawił się lekkomyślnym rozwodom i żądał

Memorandum stwierdza dalej, że na tej samej zasadzie doszło do interkomunii z Niezależnym Kościołem Katolickim Filipin i dwoma niedużymi Kościołami w Hiszpanii i Portugalii w 1961 r. Wszystkie te Kościoły przyjmują święcenia biskupie od Kościoła Starokatolickiego.

W ostatnich latach Kościół Metodystów w Anglii rozpoczął rokowania unijne z Kościołem Anglikańskim. „Nasze zastrzeżenia — powiada Memorandum — skierowane są... przeciwko występującemu w schemacie unii pojmowaniu urzędu duchownego, ordynacji oraz nakładania rąk”. W innym miejscu czytamy, że dla starokatolików decydującym zagadnieniem będzie pytanie, czy Kościół Anglikański na skutek interkomunii z metodystami zachował swą katolickość, czy też stał się innym Kościołem niż ten, z którym starokatolicy mieli do czynienia w 1931 r.

W zakończeniu paragrafu o anglikańsko-metodystycznych rokowaniach w sprawie unii Memorandum powiada: „Sytuacja, przed którą my — starokatolicy zostaliśmy postawieni na skutek porozumień anglikańsko-metodystycznych, wskazuje na jedno wyrażenie, że byłoby bardzo pożądane, aby Kościoły Prawosławne i ich teolodzy nie stali na uboczu, lecz... przedstawili swoje poglądy. Tym samym spełniliby zarówno w stosunku do nas — starokatolików jak i do anglikańców wdzięczną służbę braterską”.

Osobny paragraf poświęca Memorandum także „nowemu stosunkowi do Kościoła Rzymskokatolickiego”. Przypomina, że utworzono wspólne grupy do prowadzenia dialogu i że Międzynarodowa Konferencja Biskupów Starokatolickich postanowiła na posie-

dzeniu w maju 1969 r. w Bonn powołać Międzynarodową Starokatolicką Komisję Teologów dla koordynowania znajdujących się w toku rozmów z Kościołem Rzymskokatolickim.

Na obecnym etapie rozmów z Kościołem Rzymskokatolickim duże znaczenie dla starokatolików może mieć stanowisko Kościoła Prawosławnego wobec prymatu papieża. Memorandum stwierdza jednoznacznie: „gdy chodzi o stanowisko papieża, nie myślimy odstąpić od stanowiska, które zajęli nasi ojcowie w 1870 r.” oraz: „chcielibyśmy widzieć z naszej strony w ścisłym współdziałaniu z teologią i Kościołem Prawosławnym szczerą pomoc dla naszych rozmów z Rzymem”.

W wnioskach końcowych Memorandum powiada, że problem jedności Kościoła Starokatolickiego i Prawosławnego „nie jest tylko sprawą praktyki oraz odpowiedniej kościelno-politycznej okazji, a jeszcze mniej sprawą czystych liczb i ilości”. Chodzi o to, że oba Kościoły wskazują wspólnie przed chrześcijańskim światem na podstawową prawdę, że zjednoczenie podzielonych Kościołów, tak jak tego chce Pan Kościoła, jest jedynie możliwe do przeprowadzenia na gruncie starożytnego, niepodzielonego Kościoła i jego apostołskich zasadach. My — starokatolicy sądymy, że nasze Kościoły, Prawosławny na Wschodzie, Starokatolicki na Zachodzie, są powołane przez Boga, aby wspólnie składały świadectwo i temu świadectwu dały wyraz, poprzez zaakcentowanie tego, co już w obecnej dobie nas łączy”.

Opr.: P. G.

nierozzerwalności i trwałości węzła małżeńskiego. Jednakże teologowie chrześcijańscy nie wszyscy są pewni, czy Chrystus Pan narzucił obowiązek nierozzerwalności małżeństwa, jako prawo bezwzględnie obowiązujące i nie dopuszczające żadnych wyjątków. Powodem tych wątpliwości są dwa znamienne fakty: słowa samego Chrystusa i praktyka, którą wprowadził Apostoł Paweł.

Ewangelista Mateusz przekazał nam spór faryzeuszów z Chrystusem na temat rozwodów: „I przystąpili do niego (tj. do Jezusa) faryzeusze kusząc go i mówiąc: czy godzi się człowiekowi opuścić żonę z jakiegokolwiek przyczyny? A on odpowiadając rzekł im: Czyż nie czytaliście, że ten który stworzył człowieka na początku... rzekł: Dlatego opuści człowiek ojca i matkę i złączy się z żoną swoją i będą dwoje jednym ciałem. A tak już nie są dwoje, ale jedno ciało. Co tedy Bóg złączył, człowiek niech nie rozłącza. Rzekli mu tedy: Czemu wtedy Mojżesz nakazał jej dać list rozwodowy i opuścić? Rzekł im: Mojżesz ze względu na twarde serca wasze dozwolił wam opuszczać żony wasze, lecz na początku nie było tak. A powiadam wam, że ktokolwiek opuścił żonę swoją, z wyjątkiem przyczyny rozpusty, i pojął inną, cudzołoży, i kto by opuszczoną pojął — cudzołoży”. (Mt. 19, 3—10).

Ta właśnie klauzula: „z wyjątkiem przyczyn rozpusty” spowodowała różne interpretacje myśli Chrystusa przez teologów. Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że Chrystus chciał uchronić małżeństwo od pochopnych rozwodów, że chciał umocnić

jego trwałość i nierozzerwalność, ale równocześnie zdawał sobie z tego sprawę, że nie wszystkie małżeństwa chrześcijan dosięgną swego ideału, lecz mogą być wyjątki, upadki i pomyłki, dlatego zwrócił uwagę, aby, skoro ma już nastąpić rozbięcie małżeństwa, niechże przynajmniej przyczyna rozwodu będzie poważna tj. zdrada małżeńska.

Taką interpretację nasuwa klauzula... „z wyjątkiem przyczyny rozpusty”. Należałoby więc rozumieć, że sam Jezus Chrystus dopuszczał możliwość rozwodu z bardzo poważnej przyczyny, a właściwie z jednej przyczyny.

Ważnym argumentem podtrzymującym to rozumowanie był sposób podejścia do problemu rozwodu u św. Pawła. Apostoł Paweł, aczkolwiek przypomniał Koryntianom słowa Chrystusa o tym, że ani żona męża, ani mąż nie powinien opuszczać żony (Kor. 7, 10—12), to jednak sam, na własną rękę wprowadził wyjątek od tej zasady: pozwolił żonie chrześcijanina opuścić męża poganina, jeśli ten awanturował się w domu z powodu wiary chrześcijańskiej swej małżonki; pozwolił na to samo mężowi chrześcijaninowi, który miał żonę poganę uprzykrzającą mu życie, bo — jak zaznaczył, „Bóg wezwał nas, abysmy żyli w pokoju” (1 Kor. 7, 12—17). Zezwolenie na rozwód, zawarte w Liście Pierwszym do Koryntian, nosi nazwę „Przywileju Pawłowego”.

Ks. dr. E. BAŁAKIER

(Dokończenie w następnym numerze)

KOŚCIÓŁ DUSZPASTERZEM

Wyraz duszpasterstwo nawiązuje do tych biblijnych tekstów, które jakąś grupę ludzi porównuje do owczarni, a kierownika jej do pasterza. Jezus Chrystus również używał tego porównania (np. Jan 10, 1—16) a swoim Uczniom-Apostołom, dając władzę rządzenia w Kościele, mówił: „Paś owce moje” (Jan 21, 15—17). Wynika z tego, że duszpasterstwo to kościelne kierowanie wiernymi w taki sposób, aby łatwiej (niż poza Kościołem) mogli osiągnąć cel nadnaturalny — zbawienie wieczne.

Funkcję duszpasterską otrzymał Kościół Jezusa Chrystusa poprzez Apostołów, do których Zbawiciel powiedział: „Kto was słucha, mnie słucha, a kto wami gardzi, mną gardzi, lecz kto mną gardzi, gardzi Tym, który mnie posłał” (Łuk. 10, 16), czyli Bogiem. Wynika z tego, że rozsądny chrześcijanin nie może jednocześnie uchodzić za wierzącego i lekceważyć kościelną władzę. Określił ją Chrystus ogólnie słowami: „Zaprawdę powiadam wam: Wszystko, co zwiążecie na ziemi, będzie związane w niebie, a cokolwiek rozwiążecie na ziemi, będzie rozwiązane w niebie” (Mat. 18, 18). Ap. Paweł nazywa biskupa „włodarzem Bożym” (Tyt. 1, 5 n.). Stąd Ojcowie Kościoła — już ci pierwsi — podkreślali obowiązek posłuszeństwa względem kościelnej hierarchii. I tak np. św. Ignacy Ant. (zm. ok. 107 r.) pisał do smyrneńczyków: „wszyscy ludzie bądźcie posłuszni biskupowi jak Jezus Chrystus Ojcu; przebiterów słuchajcie jak Apostołów, diakonów czcijcie jak Boże przykazanie. Niech nikt nie załatwia żadnej sprawy kościelnej bez biskupa...” (Smyrn. 8, 1 n.).

Władzę duszpasterską nazywamy też prawniczo kościelną jurysdykcją. Obejmuje ona sprawy związane z ustanawianiem praw (prawodawstwo) kościelnych, z rozsądzeniem sporów i karaniem przestępstw (władza sądownicza) oraz wykonywanie zarządzeń i wyroków kościelnych (władza wykonawcza).

Duszpasterska praca Kościoła idzie w trzech kierunkach:

- reguluje i rozwija publiczne życie religijne czyli kult społeczny oddawany Bogu poprzez obrzędy i nabożeństwa;
- podtrzymuje u wiernych prywatne życie moralne na poziomie chrześcijańskiej, wysokiej etyki;
- koordynuje (porządkuje) współżycie Ludu Bożego w łonie lokalnych instancji (urządzeń) kościelnych, zwłaszcza parafii. Najważniejszą duszpasterską komórką kościelną jest właśnie parafia. Jej kierownikowi (proboszczowi, administratorowi itp.) nadajemy zawsze zaszczytne miano duszpasterza. Każdy chrześcijanin ma obowiązek należenia do parafii (z zasady — do tej, która jest terytorialnie najbliższa), współpracowania z nią, życia jej życiem. Chrześcijanin nie należący do żadnej parafii (lub zboru), nie ma prawa uchodzić za chrześcijanina wierzącego.

Jest rzeczą oczywistą, że w duszpasterzowaniu muszą brać udział obydwie strony: „pasterze” i „owieczki”. Na temat tej współpracy dosadnie pisał Ap. Piotr: „Starszych... proszę... paśćcie wasze stado Boże, strzegąc je nie pod przymusem, lecz z własnej woli, jak Bóg chce; nie ze względu na niegodziwe zyski, lecz bezinteresownie i nie jak ci, co są tyranizują gminy, lecz jak ci, co są przykładem dla stada” (1 Piotr. 5, 1—5).

Ks. dr S. W.

Legendy lubelskie

Kiedys przed laty powiedzial ktos o Lublinie — to miasto legend, i na pewno mial sporo racji — bo choc kazde miasto polskie ma sobie tylko przypisane legendy i podania, to Lublin szczyci sie wyjatkowymi klechdami — tak innymi i jednocześnie tak piekny- mi. O wizytowej, powiedzialbym le- gendzie-sadzie diabelskim w trybunale na rynku — „Rodzina“ pisala juz w nr 30 br Zapoznajmy sie wiec dzis z dwoma innymi podaniami grodu znad Eustrzycy.

IMC PAN BRZEZICKI HULAKA

Zyl kiedys w Lublinie imc pan Brzezicki, ktory sluzyl w rocie pana Skumina. Ale po- ciechy zadnej z niego nie mial pan rotmistrz ani druhowie, bowiem imc Brzezicki byl to hulaka nad hulakami. Pil gorzalkę z kazdym kogo napotkal na drodze, chooby to bylo pa- chole nieletnie, czy stary zebtrak, ba i na- potkanym niewiastom nie przepuszczal i zmuszal je do wspolnego z nim picia gor- zalki.

Nikt go nie widzial trzezwego. Sam Brze- zicki nie wiedzial kiedy noc byla, kiedy dzien nastawal. Doszlo do tego, ze pan rot- mistrz machnal juz na niego reką i kiedys w przystepie zlosci tak mu rzekl — a bodaj- ze cie imc Brzezicki diabli wzieni zywcem do piekla!

— A bodaj, bo zem tam jeszcze nie byl, powiedzial opoj i zwalil sie na lozko w izbie gdzie kwaterowal.

I tej wlasnie nocy powoz jakis zatrzymal sie byl przed domem. Do izby wszedl w czarna oponce przybrany mezczyzna i szarpnal za ramie hulake. Pacholek co sie przebudzil uciekl ze strachu w kąt.

— Wstawaj imc Brzezicki, przyslano mnie po ciebie, bo sam taka wole objawil, wsta- waj jedziemy do piekla.

Otrzezwial nieco pijaczyna, siadl na lozku i wyjrzal przez okno, patrzy, a tam rzeczy- wiscie stoi piekielna karetka, zaprzazona w cztery czarne ogiery. Zal mu sie nagle zro- bilo tego swiata.

— Nie diable — odpowiada po chwili Brze- zicki, chcąc zyskać na czasie — jam szlach- ciec, nie przystoi mnie jezdzic czwórka!

Strzelil diabel palcami i u powozu sześć czarnych koni bije kopytami.

— A wiec masz szostkę! — Chcąc jeszcze odwlec imc Brzezicki swój odjazd do piekla znów grymasil.

— Powoz szkaradny i nie ma w nim bisurmańskich kobierców!

Znów wiec diablisko strzelilo palcami i po- woz stanal nowy, blyszczący, wyložony dy- wanami puszystymi.

Nie mial sie juz czym wymowic imc Brze- zicki, ale tez nie chcial jechać do piekla. uczepil sie wiec lozka, a diabel silą chce mu ręce oderwac, to Brzezicki w krzyk po pa- cholka.

— Hej, chlopcze! Chlopcze! nie daj swego pana!

Przemogl pacholek strach i chcial juz sko- czyć na pomoc, a tu drugi diabel wyrosl nagle przy nim i tak mówi;

— Porzuc tego hultaja, on piekla wzywaj i do piekla jedzie!

Porwali diabli lozko i wynoszą ze struchla- lym imc Brzezickim, ktory o litość skamle.

— Jakie to zycie prowadziles mości dobro- dzieju — mówi diabel do niego — wspomnij no wszystkie swoje grzechy, oto zycie w go- rzalce pedziles, oto nie znales nic innego po- nad hulanki, a teraz pacholka swego wzy- wasz na pomoc, a kto go wczora kijami obil, kiedy ci gorzalki nie przyniosl? Nie wstyd ci imc Brzezicki?

To powiedziawszy wyciagnal diabel Brze- zickiego z betow i rzucil w kąt karety. Za- dudnil bruk po lubelskich ulicach. Potoczyl sie piekielny powoz i bylby na pewno diabli dowiezli Brzezickiego do piekla — ale zegar na Krakowskiej Bramie wybil druga godzine i kury pierwsze piac poczely, moc wiec czar- towska utracila swe czary.

Zniknal lucyferowy powoz, podzialy sie gdzieś diabli, a imc Brzezicki szczekajacy ze strachu zębami, ani żywy ani też martwy czekal rozwidnienia.

Zaraz też skoro swit, poszedl do księży bernardynów i tam krzyżem lezal przez kil- ka dni, pokute odprawial, ale po próznicy. Ciagle mu sie bowiem diabli jawily, to pod postacią psów, kotów i nie mial spokoju. Odprawiali egzorcyzmy swiętobliwi bracisz- kowie i zarzekal sie imc Brzezicki ze juz wiecej smaku gorzalki nie poczuje, ze cenic będzie prawdziwych przyjaciól. Dopiero kie- dy ujrzal swego pacholka, ktory go tu od- nalazl, zaplakal szczerze imc Brzezicki i tro- che to pomoglo. Pól roku potem opamiatal sie juz, i mary diabelskie wiecej go nie na- chodzily.

Ale ludzie w Lublinie, chcąc kogoś odstre- czyć od gorzalki opowiadali tę przedziwną historie — jako to diabli chcieli porwac imc Brzezickiego do piekla.

LEGENDA O KAMIENIU NIESZCZĘCIA

Przed wiekami, w Lublinie na Placu Ber- nardyńskim znajdował się plac kaźni — miejsce gdzie tracono wszelkich lotrów i zbrodniarzy. Stał tam też pień dębowy ogromny, wsparty o duży kamień.

Zdarzylo sie jednak pewnego razu, że kat ścial głowę niewinnego skazańca, a uczynil to z takim rozmachem, że i pień rozlupal i topór wyszczerbil o rzeczony już kamień, w którym powstala głęboka rysa.

Nie wiadomo kto przetoczył potem ten ka- mień na niewielki placzyk przy ulicy Rybnej, gdzie lezał długo nim zaczął przynosić lu- dziom nieszczęście.

Tak więc przechodziła raz tamtędy kobieta z dwojakami, niosąc mężowi obiad. W pobli- zu kamienia potknęła się, upadła rozbijając dwojaki.

Zapach kraszonej zupy, znęcił wałęsające się psy, ale te ledwie liźnęły kamień wszyst- kie padły martwe.

— Zły to omen! — Zawyrokowali okolicz- ni mieszkańcy.

A „kamień nieszczęścia”, gdy go ktoś nieświa- domy dotknął ręką albo bosą stopą, to zaraz czepiały go się różne choróbka i inne losu przypadki. Miejsce gdzie lezał nazwano, Psia Górka.

Mieszkał w pobliżu pewien piekarz, który kiedys stawiał sobie nowy piec i zlakomil się na ów kamień, przechwalał się przy tym wokół, że jak się kamień w piecu rozgrzeje to go i moce nieczyste opuszczą.

Ale ledwie sobie nowy piec wystawił, zgo- rzał był w nim, zamknięty tam przez pieka- rzową i czeladnika gacha. Zły kamień wró- cił więc znów na Psia Górkę, dalej siejąc nieszczęścia.

Raz oslepił murarza, który młotem chciał go rozwalić na drobne kawalki. to znów o śmierć przyprawił bluźniercę niedowiarka.

Kiedys jednak zaczęto stawiać niedaleko kościół księży trynitarzy i przyszło wtedy ludziom do głowy aby po wzniesieniu mu- rów wtoczyć kamień do kruchty, bo być może wówczas w świętym miejscu straci swą szatańską moc.

Nie zdalo się to na nic. Krew niewinnie przelana ciągle szukała pomsty. Budowy kościoła nie ukończono, bo ciągle coś stało na przeszkodzie. W końcu niewykończone mury zakupił jakiś bogaty mieszczanin, i urządził tam swój pałac.

A kamień ponownie wrócił na Psia Górkę, gdzie lezał długo zapomniany, bo już i ludzie, którzy znali jego złą moc, powymierali, bądź wynieśli się gdzieś dalej.

W XIX wieku kiedy władze carskie wzno- siły cerkiew na Placu Litewskim przewiezio- no kamień, gdyż chciano go użyć do budo- wy dzwonnicy.

Ale i tam wydarzylo się kilka nieszczęśli- wych wypadków, jakiś żołnierz nawet stracil przy tym życie. Więc aby już zakończyć tę niewyjaśnione historie z kamieniem, wywie- ziono go daleko za miasto.

W długi czas potem budowano tam pro- chownię, i oczywiście kamień posłużył do bu- dowy fundamentów, ale prochownia wylecia- ła w powietrze.

Potem znów niewiadomym sobie sposobem znalazł się „kamień nieszczęścia” na ulicy Jezuickiej wprost Trynitarzkiej Bramy. I znów jak przed laty budził lęk wśród miesz- kańców starego miasta.

W 1939 roku bomby hitlerowskie najczę- ściej podobno padały w jego okolicy — pod- trzymując dawną złą legendę.

Podobno do dziś, ten „kamień nieszczęścia” leży na rogu zniszczonej uliczki szczerząc szczerbę po kałowskim toporze. Tak mówi legenda.

Zebrał i opracował K.S.



Rozmyślenia przy kominku

One tak szybko rosną, że wydaje się to wprost niesamowite. Jeszcze przecież tak niedawno, z bijącym sercem rozpoczynaliśmy z naszymi pociechami naukę w pierwszej klasie, kupowaliśmy tornister, fartuszek, kłopotaliśmy się o kapcie i kredki — a tu proszę tylko spojrzeć — nasze panny kręcą nosem na kolekcję Juniora, a synowie rozprawiają o wyższości volkswagena nad trabantem.

Są rośli, piękni, dobrze zbudowani. Z mimowolną dumą śledzimy ich wysportowane sylwetki i świeżą cerę. Nasze dzieci to jakby nasza legitymacja, podmioty rodzicielskiej radości i dumy i przedmioty naszej nieustannej troski. Nieba radzibyśmy im przychylić i nie cofamy się przed żadnymi ofiarami, aby im tylko dogodzić, aby zapewnić im „beztroskie dzieciństwo”.

Właśnie — „beztroskie dzieciństwo”, „normalna młodość”! Te i tym podobne sformułowania przewijają się przez wszystkie rodzicielskie rozmowy, przyjacielskie kaunki i socjologiczne rozważania. Odmieniamy je przez wszystkie przypadki i wreszcie zaczynają żyć samodzielnym życiem, zmieniają swą treść, stają się celem samym w sobie, choćby życie i kalendarz próbowały przywieść nas do opamiętania...

Pani Zosia, nowa sprzątaczką w moim biurze, chwytła się wszelkich możliwości dodatkowego zarobku. Gotowa jest myć okna, pastować podłogi i szorować schody w każdym miejscu i o każdej porze. Dwoi się i troi, nie odmawia żadnemu wezwaniu. Ta mała drobna kobiecinka zda się, dysponuje niespożytkami siłami. Zarabia więc zupełnie nieźle i wydawałoby się, że stać ją na to aby kiedyś zamienić podszycie wiatrem paletko i wyszarzała spódnicę na coś porządniejszego, ale pani Zosia jakoś nie odczuwa tej potrzeby, choć ubraniem interesuje się aż za bardzo. Jak mała szara myszka przemyka się przez korytarze i pokoje, a jej bystre oczy zaraz wypatrzą jakieś rajstopy, czy sweterki, szalowe pasy i zwiewne apaszki, którymi nasze panie uszczęśliwiają się nawzajem. Niech tylko na którymś biurku błysnie ładny damski ciuszek, opakowany w przezroczysty plastik i opatrzone napisem w obcym języku — już zjawia się pani Zosia i chwytając „rzecz” w obie ręce pyta zachłannie — Ile? Potem targuje się do upadłego, prosi o rozłożenie należności na raty.

Niedawno nasza pani Zosia zachorowała na zapalenie nerwu kulszowego i naprawdę nie mogła chodzić. Zaświadczenie lekarskie przyniosła do naszego biura jej córka. Była to rośla, wspaniale zbudowana dziewczyna w oształamiającym spodniem. Rozpięła żakiet i pozornie niedbale demonstrując komisowy golf, oświadczyła, że „mama i tak na pewno wstanie wcześniej, bo ma sprzątanie u pani Kowalskiej”. Poprosiła też, aby powiadomić panią Malinowską, że nie ma powodu szukać kogoś innego do mycia okien, gdyż mama „za nic” od tego nie odstąpi.

Córka pani Zosi wzbudziła sensację w naszym biurze. Zbiegły się zewsząd różne panie i zaczęły ją indagować co robi i gdzie pracuje. Odpowiedziała niechętnie, że uczy się w szkole handlowej i szybko zmieniła temat pytając czy panie z sekretariatu mają już ten komplet zamszowy o którym wspominały mamie. Panie z sekretariatu kompletu nie miały, były natomiast bardzo ciekawe czy Jadzia (bo takie imię nosiła piękna dziewczę) pomaga matce w zarabianiu na ten komplet. Dziewczę oburzyło się — Ależ ja się uczę — oświadczyła. — O, to chyba uczysz się dobrze? Dziewczyna wzruszyła ramionami — Chyba ci zależy, aby jak najszybciej skończyć szkołę i pomóc matce? Jadzia szybkoitko wstała z krzesła i niedwuznacznie szykując się do wyjścia bąknęła na odczepnego — Ech, co ja tam zarobie! Nie ma się do czego spieszyć — i poszła.

Poczwarki i motyle

Panie od razu zaczęły dyskusję, mnie zaś przypomniała się pani Marysia z naszego bloku. Mąż pani Marysi pracuje w kanalizacji, a ona robi dosłownie wszystko. Jest niezastąpiona w naszej sąsiedzkiej społeczności. Chodzi po zakupy, pilnuje dzieci, sprząta, pierze, a nawet myje samochody. Umie też robić na drutach i przerabiać dziecinne ubranka. Przez dziesięć lat naszej znajomości patrzyłem z zadowoleniem jak miłe, czyste, dwupokojowe mieszkanko pani Marysi stopniowo się zappełniało. Byłem więc świadkiem kupna radia i pralki, a wreszcie także przedmiotu największej dumy — telewizora. Z przyjemnością patrzyłem na jej dzieci zawsze zadbane i pięknie ubrane, uczestniczyłem w jej kłopotach (dzieci nie chciały się uczyć!) i kiedyś długo tłumaczyłem pani Marysi, że nauka dobrego zawodu jest czymś nieskończenie lepszym niż przejściowa moda na liceum ogólnokształcące, skoro dziecko nie ma wyrażnych zdolności w tym kierunku.

Najstarsza córka pani Marysi, Krysia ukończyła wreszcie, z wielką biedą, szkołę zawodową i rozpoczęła pracę. Teraz, pani Marysia, zabiegająca jak mrówka o zarobki, nie troszczyła się już o nowy tapczan czy wymarzoną lodówkę. Córka była panną (!) i „musiała” się ubrać. A kto ma ubierać „dziecko” jak nie matka? Krysia więc jak barwny motyl przefruwała przez podwórko, a matka żaliła się sąsiadkom: — Co tam ona zarobi! Majstra to ma nie wiadomo jakiego. Tylko patrzy na takich różnych pracusiów, a moja Krysia to najprostsze rzeczy robi i jeszcze mu się nie podoba. Zawsze coś wynajdzie. Uwziął się i tyle...

Jak tam naprawdę było z tą pracą Krysi, nie wiem, ale, że się nią za bardzo nie przejmowała to fakt. Myślała raczej o tym, aby się jak najprędzej „wydać” gdyż w myśl

wyniestonych z domu poglądów „lata były po temu”.

Uwinęła się też szybko. Zwiastunami tego faktu były sąsiedzkie pogwarki pod oknem pani Marysi (parter), domyślne spojrzenia rzucane w stronę przemykającej się teraz przez podwórze Krysi, odgłosy gwałtownych awantur dobiegające z cichego dotąd mieszkania i wreszcie oficjalne i uroczyste wyjście obojga rodziców wraz z Krysią na popołudniowy spacer. Obok Krysi kroczył wysoki chłopak, wyraźnie skrepowany lecz usiłujący to nadrobić sztuczną swobodą.

A potem rozszalał się sąsiedzki totolotek „Ożeni się, czy nie ożeni.” Coraz bardziej gorączkowe krzatanie się pani Marysi, zaplankane Krysine oczy i w końcu ogólne westchnienie — a jednak. Wesele i chrzciny, które nastąpiły niedługo jedno po drugim poważnie zachwiały budżetową równowagą rodziny. Wydano wszystko, co tylko można było wydać, zapożyczono się gdzie tylko było można. Na suknię, kwiaty, zdjęcia, takśówki i huczne przyjęcie — na wózek, kapki, koronkowe narzutki i ucztę dla krewnych i znajomych.

Młodzi, oczywiście zamieszkali z dzieckiem u rodziców, lecz nie wszystko układało się tak, jak to sobie pani Marysia wyobrażała. Dla niej, sprawa powinna zakończyć się wraz z chrzciniami. Krysia oto zakończyła swój barwny motyli okres i teraz miała zamienić się czym prędzej w szarą poczwarkę. Młodzi winni iść „na swoje”, a skoro jest to na razie niemożliwe ze względów mieszkaniowych, to przynajmniej rozpocząć gospodarowanie swoimi zarobkami — na starania pani Marysi czekała bowiem młodsza córka Jasia, której „czas” właśnie nadchodził.

I tu spotkało panią Marysię pierwsze rozczarowanie. Krysia i jej młodociany mąż nie mogli po prostu pojąć, że cokolwiek się zmieniło. Do domu przybyli zwyczajnie dwie nowe osoby i już! Matka zawsze dawała sobie radę ze sprawami rodziny, nie żądając od Krysi niczego z jej zarobków, a odwrotnie kupując jej coraz to nowe ciuchy — i Krysia nie widziała powodów aby cokolwiek zmieniać w tym układzie. Tyle tylko, że przedtem matka stawiała pełny talerz przed nią, a teraz i przed jej mężem. Oboje byli młodzi, weseli, chcieli pobawić się „pożyć”. Mieli kolegów i koleżanki, trafiały się „okazje” i wspólne zabawy. Dziecko? Dziecko było w żłobku, a po południu mogła przecież „pobawić” je matka. Była babcią, czy nie była?

Pani Marysia, taka zawsze żwawa i wesoła, nagle bardzo się postarzała. W zeszłym tygodniu, widziałem nawet wóz Pogotowia przed jej oknem. Podobno coś tam z sercem było nie najlepiej. Schudła też bardzo i pochylała się.

Wczoraj, spotkaliśmy się przypadkiem na podwórku. Zbierała ze sznurów dziecinną bieliznę. Zagadnąłem ją o wnuczkę, a ona nagle rozplakała się, ocierając wierzchem dłoni, gęsto płynące łzy:

— Już naprawdę nie mogę — poskarżyła się — Sił mi nie starcza. Tyle ludzi na mojej głowie i jeszcze dziecko. Skąd na to brać? Niech pan tylko obliczy, ile to trzeba samego chleba i kartofli. A gaz, a światło? Co dzień przecie kąpię Stasia i co dzień pierę pieluchy. Młodsze dzieci zloszczą się, mąż zaczął pić i mówi, że dobrze mi tak. Wszyscy czegoś ode mnie chcą, a mnie już żyć się nie chce. Im się zdaje, że ja wszystko mogę i wszystko muszę i nikt mi nie współczuje, nikt, nikt!!

Mówiłaby tak dalej — ale na parterze otwarło się okno i rozległ się głos Jaski — Niech mama idzie prędzej, bo trzeba Stasia nakarmić! — Pani Marysia machnęła więc tylko ręką, dźwignęła kosz z bielizną i ciężkim krokiem pospieszyła do domu...

HABER



TO NIE WOJNA RELIGIJNA

Religia nie ma z tym nic wspólnego, to nie jest problem religijny lecz polityczny i społeczny" — powiedział niedawno działacz labourzystowski z Belfastu dziennikarzowi włoskiego pisma „Unita”, charakteryzując wydarzenia w Irlandii Północnej. Niestety splót zagadnień narodowych, politycznych i społecznych utkany w ciągu wielu lat przez brytyjski imperializm przy istnieniu podziału religijnego, będącego rezultatem historycznych wydarzeń sprawiły, że obraz dzisiejszego Ulsteru jest mozaiką nietatwą do odczytania. „Brzemie przeszłości w społeczeństwie jest brzemieniem przeszłości” — jak powiedział jeden ze słynnych filozofów. Spróbujmy zatem sięgnąć do historii, by tam znaleźć początki dzisiejszego dramatu Irlandczyków.

Podbój Irlandii przez Anglików odbywał się drogą sukcesywnego rugowania tubylców z ziemi. Poczynając od XVI wieku praktyki owe zostały podniesione do rangi polityki państwowej. Intencje były dosyć przejrzyste: chodziło o to, by na miejsce ludności rdzennej, nie dającej się ujarzmić, „przeplancować” przybyszy z innych terenów królestwa angielskiego i stopniowo zaanektować te tereny. Na początek ekspansji wybrano północną część wyspy, posiadającą najlepsze połączenia komunikacyjne zarówno z Anglią jak i ze Szkocją.

Każdy stłumiony odruch buntu Irlandczyków przeciwko kolonizacji pociągali za sobą falę wysiedleń z ziemi. Oto kilku tylko przykładów: Elżbieta I zdążyła skonfiskować w czasie swojego „jaśniepanowania” 200 tys. akrów ziemi. W latach 1597—1603 krwawo stłumiono powstanie irlandzkie — i traktując rzecz jako „akt zemsty” — skonfiskowano 1 milion ziemi w Irlandii Północnej. Cromwell, zabraw 11 milionów akrów, pacyfikując ten kraj w latach 1642—49.

Na ziemi wypędzonych i „niepotrzebnych” Irlandczyków przybywali angielscy

i szkoccy koloniści. Opustoszałe miasto Derry zostało opanowane przez kupców londyńskich i nazwane Londonderry. Mogłoby się wydawać, że w mieście tym po Irlandczykach nie pozostało ani śladu. Jednakże właśnie w tym mieście rozpoczęły się przed rokiem walki o prawa obywatelskie.

Proces zaborów trwał i zbierał swe żniwo. Dokonywały się głębokie przemiany społeczne, przy których podział religijny był tylko wtórnym, nie mającym istotnego znaczenia. Angielscy i szkoccy koloniści — protestanci stawali się kupcami i obszarnikami. Natomiast katolicy irlandzcy, byli dzierżawcami i pracownikami najemnymi.

DIVIDE ET IMPERA

Irlandię Płn. zamieszkuje aktualnie ok. 1,5 miliona ludności, przy czym 2/3 to protestanci (przedsiębiorcy i kupcy, wolne zawody, obszarnicy) a 1/3 (drobni farmerzy, dzierżawcy, niewykwalifikowani robotnicy). Należy tu podkreślić, że podział w usytuowaniu materialno-społecznym obu grup nie jest taki sztywny. Bowiem nie wszyscy protestanci, to ludzie zamożni. Są także protestanckie slumsy, nie różniące się niczym od katolickich.

Nikt chyba nie potrafił stosować z takim mistrzostwem dewizy „dziel i rządź”, jak właśnie angielscy imperialiści. Do tego, by dzielić, potrzebne były jakieś instrumenty. I tym instrumentem o kolorycie subtelnym a więc tym bardziej skutecznym była kwestia religijna. Posługując się szalbierstwem, mógł dzięki niej angielski imperializm oderwać Irlandię Północną od tworzącej się po pierwszej wojnie światowej Republiki Irlandzkiej.

Wygrzywanie różnic religijnych umożliwiło ongiś obszarnikom północnoirlandzkim utrzymanie w posłuszeństwie i wyzysk zarówno dzierżawców protestantów jak i katolików. Potem w miarę rozwoju przemy-

ślu i powstawania klasy robotniczej, stało się ono klasowym narzędziem rozbijania solidarności klasowej. Ilustracją tego może być fakt, że w 1850 r. właściciele stoczni w Belfaście zainspirowali starcia religijne po to, aby obniżyć płace robotnikom. Tego rodzaju chwytły stosowane są także dziś.

DYSKRYMINACJA KATOLIKÓW

Od lat 50-ciu władzę w Irlandii Północnej sprawuje partia Unionistów, będąca odgałęzieniem brytyjskiej partii konserwatywnej. Dominują w niej obszarnicy i w ogóle przedstawiciele klas posiadających, pragnący za wszelką cenę utrzymać Irlandię Płn. przy Anglii. Takiemu też celowi służy dyskryminacja katolików, ograniczanie ich praw obywatelskich, nieprzyjmowanie do pracy, przydzielanie najgorszych mieszkań, niedopuszczanie ich do udziału w samorządzie lokalnym.

A równocześnie, wedle owej imperialistycznej zasady, rzuca się ochłapy biednym warstwom protestantów, dając im pewne drobne przywileje. Rzecz jasna, budzi to sprzeciw katolików. Wiedzą o tym protestanci, których wodzowie utworzyli multum organizacji wzniecających płomień szowinizmu. Jak tedy łatwo dostrzec, u źródła krwawych wydarzeń, które już od roku wstrząsają Irlandią Płn. są rozdzierające kontrasty i niezwykle ciężka sytuacja najbiedniejszych warstw ludności. Zrozumienie tej prawdy stopniowo toruje sobie drogę także w tym kraju.

Rząd brytyjski zmuszony był wyrzucić nacisk na rząd północnoirlandzki w kierunku pewnych ustępstw na rzecz katolickiej mniejszości. Wysłano też brytyjskie oddziały, które zaprowadziły „porządek”. Jest to jednak porządek i spokój iluzoryczny. I nie trzeba być prorokiem by przewidzieć, że nie będzie trwałego spokoju pod irlandzkim niebem, dopóki nie wprowadzi się głębokich reform i nie usunie źródeł, których produktem są barykady dzielące katolików i protestantów.

ANTONI TALON

Tęsknoty

i

okazje


Ta broń odświeży ci wspomnienia! Wreszcie w sprzedaży! Prawdziwy model używany przez Wehrmacht podczas drugiej wojny światowej!

Oto mała ilustracja atmosfery, panującej w określonych środowiskach NRF. Ogłoszenie to zamieściła gazeta „Neue Herner Handelsblatt”. Ogło-

szenie mówi, że karabiny działają bez zarzutu i mogą być wysłane każdemu mieszkańcom NRF, który ukończył 18 lat i zapłaci 148 marek. Na dowód, że karabin jest prawdziwy, firma oferuje również naboje kalibru 8,57 w cenie 12 marek za 10 sztuk.

Komu zależy na odświeżeniu wspomnień z lat wojny — nietrudno się domyślić...

Eine Waffe, die Erinnerungen wachrufen! Einfach auf dem Markt!
Das Original-Wehrmachtsmodell 98 K aus dem 2. Weltkrieg



jetzt wieder lieferbar — Waffenerwerbsscheinfrei an Personen über 18 Jahren. gebraucht und wieder statill neu beschossen nur DM 148,—
Patronen 8x57, 10 Stück DM 12,—
alle Preise einschl. Mehrwertsteuer.
Nahnahmeversand gegen Altersbescheinigung (Personalausweis, Reisepaß, Geburtsurkunde) Prospekte und Beschreibungen stehen nicht zur Verfügung
TROLLE, 646 Balmhausen/Hessen, Postfach 94, Ruf 64631/34 33

Problemy algierskiego startu

Algieria należy do krajów, które utrzymują i rozwijają przyjazne, wielopłaszczyznowe stosunki z Polską. Polska z pełną życzliwością odnosiła się do wyzwoleniczej walki Algierczyków a po jej zwycięskim zakończeniu nawiązała z Republiką Algierską stosunki dyplomatyczne i żywe kontakty gospodarcze i kulturalne. Wystarczy wspomnieć, że nasz obrót handlowy z tym krajem sięga 50 mln zł dewizowych rocznie i zapowiada się konsekwentny dalszy jego wzrost. W grę tu wchodzi możliwość dostaw inwestycyjnych dla algierskiego przemysłu, górnictwa i rolnictwa oraz eksport polskiej myśli technicznej. W zakresie wymiany kulturalnej Algieria gości polskich twórców, przebywał tam np. zespół „Śląsk”, liczna grupa algierskiej młodzieży studiuje w naszych uczelniach. Odbyta ostatnio oficjalna wizyta Przewodniczącego Rady Państwa M. Spychałskiego jeszcze bardziej zbliżyła do siebie oba kraje.

Ze wszystkich państw wyzwolonych od kolonializmu, Algieria najbardziej zdecydowanie kroczy w kierunku postępowego modelu państwowości. W rękach państwa algierskiego znajduje się już cały kluczowy przemysł i górnictwo, z wyjątkiem naftowego. Po szeroko zakrojonych posunięciach nacjonalizacyjnych z 1968 r. w rękach obcego kapitału — poza ropą naftową — pozostały tylko mniejszościowe udziały w przemysłowych spółkach mieszanych: państwo algierskie — obcy kapitał. W spółkach tych państwo algierskie posiada przynajmniej 51 proc. akcji. Rodzimy kapitał prywatny tworzy małe zakłady w takich gałęziach, jak konfekcja, montaż narzędzi, rowerów itp.

Pozycje państwa algierskiego rosną również w dziedzinie wydobycia ropy i gazu ziemnego. Państwowe przedsiębiorstwo „SONATRACH” wydobywa i przerabia ok. 2 mln ton ropy naftowej. Poza tym przedsiębiorstwo to wykonuje ścisły nadzór nad resztą wydobycia.

Sektor samorządowy reprezentowany jest przede wszystkim w rolnictwie. Obejmuje 3 mln ha najlepszych gruntów uprawnych, podczas gdy cała Algieria posiada w ogóle 6,2 mln ha gruntów ornych. Gospodarstwa zarządzane są przez komitety, złożone z przedstawicieli robotników rolnych oraz przez dyrektorów, mianowanych przez ministra rolnictwa. Gospodarstwa te działają na zasadach rozrachunku ekonomicznego.

W rękach wielkiej własności ziemskiej pozostaje nadal 8500 gospodarstw, obejmujących 1700 tys. ha ziemi uprawnej. Zapowiedziana reforma rolna nie jest dotychczas przeprowadzana, ponieważ państwo chce



Na targu w Tamanrasset, oazie saharyjskiej odległej o 2 000 km od stolicy (Fot. CAF)

wpierw odpowiednio przygotować małorolnych i bezrolnych chłopów do samodzielnego gospodarowania na przydzielonych im gruntach.

Obok niewątpliwych, widocznych osiągnięć występują w Algierii poważne problemy, będące pozostałością kolonializmu i czekające rozwiązania. Jednym z nich jest problem bezrobocia. Bezrobocie szczególnie daje się we znaki w gospodarczo mniej rozwiniętych prowincjach wschodnich, gdzie obejmuje ono ponad 42 proc. zdolnej do pracy ludności męskiej, podczas, gdy w rejonach centralnych liczba ta wynosi 32 proc. — na zachodzie — 21 proc. W chwili obecnej ogólną liczbę zdolnych do pracy mężczyzn szacuje się w Algierii na 2,5 mln osób. Liczbę zatrudnionych oblicza się na 1,7 mln, w tym 1,3 mln w rolnictwie. A zatem około jednej trzeciej mężczyzn w wieku produkcyjnym znajduje się w sytuacji „zbędnej siły roboczej”. Zatrudnienie kobiet jest jeszcze mniejsze, zaś szybki, przekraczający 3 proc. rocznie przyrost ludności jeszcze bardziej zaostrza problem zatrudnienia.

Brak zapotrzebowania na siłę roboczą pogłębia dawną tendencję emigracji do przemysłowo rozwiniętych krajów Europy Zachodniej, gdzie liczba zatrudnionych Algierczyków, według ostatnich ocen, sięga 750 tysięcy.

Konsekwentny kurs rządu algierskiego na rozwój przemysłu ma na celu, poza innymi względami, również zmniejszenie bezrobocia. Obecnie, po niezbędnych krokach przygotowawczych, Algieria weszła w etap intensywnej industrializacji. Tak np. w roku bieżącym na przemysł przypada ponad 57 proc. wszystkich inwestycji. Poważne miejsce zajmie industrializacja również w nowym planie czteroletnim na lata 1970—1973.

Plany gospodarcze ściśle wiążą się z posiadaniem kadr własnych specjalistów różnego stopnia. Kolonializm celowo blokował Algierczykom drogę do oświaty i dlatego w niepodległej Algierii oświatę niejako uprzywilejowano. Na szkolnictwo — od podstawowego do wyższego — przeznaczają się co roku ponad jedną czwartą wszystkich wydatków

budżetowych. W okresie niepodległości Algierczycy osiągnęli w dziedzinie oświaty duże sukcesy. Liczba uczniów szkół podstawowych wzrosła dwa i pół raza — z 0,6 do 1,5 mln. Szczególnie znamieny jest rozwój szkolnictwa wyższego: obecnie kształcą się na wyższych uczelniach 9720 studentów wobec 600 w r. 1962, tj. 16-krotnie więcej! Mimo to dotychczas tylko połowa dzieci w wieku szkolnym może zasiać w ławie szkolnej.

Ostry problem społeczny stanowi również ochrona zdrowia. Na blisko 13 milionów ludności przypada około 1500 lekarzy, z czego ponad połowa pracuje w trzech największych miastach — w Algierze, Oranie i Konstantynie, nikła jest opieka lekarska w odległych rejonach wiejskich. W okresie kolonialnym, europejska ludność Algierii nie odczuwała, rzecz jasna, trudności w tej dziedzinie. Brak lekarzy i ogólnogospodarcze trudności nie pozwalają jeszcze państwu na wprowadzenie bezpłatnej opieki lekarskiej.

Do rzędu najważniejszych problemów Algierii można zaliczyć również problem mieszkaniowy. W rezultacie masowego wyjazdu ludności europejskiej w pierwszych miesiącach niepodległości, w ręce państwa algierskiego przeszły znaczne rezerwy mieszkaniowe w miastach. Zostały one natychmiast zajęte przez rodziny algierskie, które przyniosły się do mieszkań zbiegłych z kraju dawnych właścicieli. Okoliczność ta złagodziła ostrość kryzysu mieszkaniowego, ale tylko na pewien czas. Rudery poprzednich mieszkańców algierskiej Casby, którzy przenieśli się do nowych mieszkań, ani przez chwilę nie stały pustką — zajęli je przybyłe ze wsi. Napływ ludności wiejskiej do miast ponownie zaostrzył kryzys mieszkaniowy, toteż obecnie rząd, po raz pierwszy od uzyskania niepodległości, musiał przeznaczyć na budownictwo mieszkaniowe znaczne fundusze. W ramach planu czteroletniego na lata 1970—1973 przewiduje się budowę około 300 tysięcy mieszkań.

Trudności występujące w dzisiejszym życiu kraju, mobinizują całe algierskie społeczeństwo do koncentracji sił dla zlikwidowania spuścizny lat kolonialnego wyzysku.



Świeże powietrze! Wspaniale, cudowne! — powiedział Fil

Drugie życie

Od razu rozumiałam, że nikt nie wystawi gwarancji na życie mojego męża. Przeżyłam z nim szczęśliwe chwile, ale niewiele ich już było. Nad każdą z nich wisiła straszna groźba... Jak długo jeszcze? A jednak odpędzałam od siebie myśl, że Fil może umrzeć. W ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy otrzymaliśmy mnóstwo telegramów i listów z całego świata. Nieznani ludzie ze wszystkich kontynentów, zawiadamiali, że myślą o nas, są nam bardzo życzliwi. Jakie to piękne...

TAK zaczynają się wspomnienia Eileen Blaiberg, małżonki dentysty, dr Filipa Blaiberga, który najdłużej żył spośród ludzi, którym przeszczepiono obce serce. Na dwadzieścia miesięcy ucichły zawzięte dyskusje o celowości transplantacji serca. Uciszyło je „drugie życie” dr Blaiberga. Blaiberg już nie żyje, ale spośród 149 osób, którym serca przeszczepiono (do 1 września br.), 40 osób żyje nadal. Wiedzą one, że mają dać odpowiedź na pytanie, czy odważne, pionierskie eksperymenty kardiologii doprowadzą do celu. Na pytanie to na swój sposób stara się również odpowiedzieć Eileen Blaiberg. Opisała ona „drugie życie” swego męża, które stało się dla niej dniami nadziei i trwogi. Wybraliśmy z jej wspomnień kilka urywków.

*

Nie jeden raz patrzyłam na to, jak śmierć sięgała po mojego męża. Nie jeden raz wydawało mi się, że wszystko stracone. Przecież to jego „drugie życie” było „tańcem na linie”. Życie Filipa było wciąż zagrożone przez jego własny organizm, który walczył przeciw obcemu intruzowi — sercu innego człowieka. Walka o życie męża rozpoczęła się 3 grudnia 1967 r. Nigdy nie zapomnę tego dnia, nigdy, jak długo będę żyła. Fil leżał w łóżku. Był bardzo chory. Właśnie przygotowywałam obiad, kiedy zawołał on mnie do siebie. Ze łzami w oczach mówił:

— Stała się wielka rzecz, stało się coś, co zrewolucjonizuje medycynę i uszczęśliwi ludzi..

Dotyczyło to nadanej przed chwilą informacji radiowej, którą Fil usłyszał. Radio podało, że profesor Christian Barnard w kapszackim szpitalu Grote — Schuur pomysłnie przeprowadził pierwszą transplantację serca. Jego pacjent nazywał się Luis Washkansky. Fil, jako lekarz, od razu ocenił znaczenie tego wydarzenia. Było to dla nas ogromne przeżycie. Drugim takim przeżyciem stał się telefon od profesora Schriera z kliniki Grote-Schuur, który przez trzynaście lat leczył Fila. Profesor zadzwonił jeszcze tego samego dnia, po południu, ze szpitala Grote-Schuur. Kiedy podniosłam słuchawkę profesor oznajmił:

— Fil będzie drugim człowiekiem, któremu damy inne serce. Powiedz mu to, Eileen, kiedy jego stan trochę się polepszy.

Tego wieczora Fil prawie przestał odychać. Choroba znowu zawzięcie go zaatakowała. Tydzień po tygodniu czuwałam przy jego łóżku całymi nocami, w nieustannym lęku, w ciągłej niepewności. Niekiedy oddech jego siał tak dalece, że ledwie można było to dostrzec, dziesiątki razy odnosiłam wrażenie, że to już...

Fil zawsze fascynował się rozwojem medycyny i techniki. Sądzę, że nie było to bez znaczenia, iż właśnie jego wybrano na tę drugą operację. Widzę go, jak staje przede mną i z dziecięcym ukontentowaniem opowiada:

— Wiesz, dzisiaj widziałem na telewizyjnym ekranie swoje własne serce! Zrozumi, swoje własne serce widziałem!..

Zastanawiałam się wtedy, czy Fil zdaje sobie sprawę z całej prawdy, czy wie, że jego życie nieustannie wisi na włosku? Domyślałam się, że raczej tak. Ale to tylko domysł. Nie dawał po sobie niczego poznać. Lekarze przedstawili mi wyniki ostatnich badań, nie informując o nich Fila. Oświadczyli mi wręcz:

— Serce pani męża jest tak zniszczone, że po ogólnie stosowanej kuracji niczego nie należy sobie obiecywać... Jak długo zdolne jest ono pracować — określić nie można. Jeśli powiemy: jeszcze miesiąc, lub jeszcze godzinę — obie diagnozy mają jednakowe uzasadnienie.

Cóż mi w takiej sytuacji pozostawało? Liczyć dni, minuty...

Doczekałam wreszcie małego polepszenia się stanu zdrowia mego najdroższego Fila i ostrożnie zaczęłam:

— No, a co byś na to powiedział, gdyby ci zaproponowano wymianę serca, jak Washkanskiemu?

— Chyba rozplakałbym się z rozczulenia! Od tego dnia nie odchodził myślami od możliwości takiego rozwiązania, widziałam, że w nim pokłada ukrytą nadzieję.

Odwieźlimy Fila do szpitala. W szpitalu pewnego dnia poznałam młodego lekarza. Prezentował się bardzo ujmująco, ale w oczach jego czytałam jakąś niepewność, wydawał mi się przygnębiony i zmęczony, jakby po kilku nieprzespanych nocach — było to wkrótce po śmierci Washkańskiego. Mąż przedstawił mi go:

— Profesor Christian Barnard..

Po wyjściu profesora nękał mnie nowy natłok myśli. Washkańsky nie żyje... Czy, gdyby go nie operowano, żyłby jeszcze? Jeżeli żyłby, to czy Fil ma iść na ten sam stół, na którym operowano Luisa? Każda chwila jego życia przedstawia dla mnie wartość nieoszacowaną, wiem, że i on chce żyć, chce być jak najdłużej ze mną. Czy nie wpłynąć na Fila, żeby się cofnął? Ale wszak Fil jest lekarzem i doskonale wie na co się waży. Powiedział mi kiedyś: najbardziej cenię tych ludzi, którzy potrafili poświęcić choćby małą część swego życia dla dobra innych ludzi a największym dobrem człowieka jest nauka. No, tak — rozmyślałam — Fil postanowił sprezentować ludzkości część własnego życia, nie wiedząc ile miesięcy lub minut oddaje ludzkości. A jednocześnie ma nadzieję, że ludzkość, że nauka sprezentuje mu przedłużenie jego życia. Wiedziałam, i niech każdy to wie, że w decyzji Fila nie działała wyłącznie instynktowna chęć życia, kierowało nim coś większego, szlachetniejszego, coś, co w moich oczach czyniło zeń człowieka przez duże „C”.

W południe 2 stycznia 1968 r. wzięto Fila na salę operacyjną. Był uszczęśliwiony. Dawno nie widziałam w nim tyle radości. Rozumiałam go — chciał żyć. I tak bardzo pragnęłam żeby żył... Chyba dlatego na progu operacyjnej sali rozstaliśmy się bez żadnych scen, mówiąc sobie nawzajem krótko: good bye! Kiedy bezszelestnie zamknęły się drzwi do białej sali, nogi pode mną ugięły się, padłam na jakiś fotel i wybuchnęłam głośnym płaczem...

(Dokończenie w następnym numerze)



SPADKOBIERCY DAWNYCH MISTRZÓW

Komoda w stylu Ludwika XV wykonana w różowym palisandrze

Stali zwartymi grupkami rozprawiając przyciszonymi głosami, tak by nie zakłócić chwili, nie znając powagi uroczystości. Blade jesienne słońce niedyskretnie ujawniało to staranną cerę na ciemnym garniturze, to wyblakłą barwę elegancko w niemodny węzeł zawiązanego krawata. Wreszcie, żegnając się ze staroświecką galanterią, zniknęli w obsypanych pożółkłymi liśćmi alejkach. Każdy myślał zapewne, że coraz bardziej zmniejsza się, szczerpleje ich grono, a każdy z nich obecnie już emerytów przedstawia sobą i swoją pracą ogromny dorobek oraz wniósł swój wkład w naszą kulturę. Przedmioty bowiem wykonane rękoma starych mistrzów długo jeszcze cieszyć będą użytkowników, wzruszać pięknym kształtem artystycznego mebla, wymyślną ramą błyszczącą w sali muzeum. Generacja dawnych majstrów meblarskich, kowali, pozłotników — ludzi, którzy są ostatnimi Mohikanami artystycznego rzemiosła — odchodzi...

Warszawiacy mieli ostatnio możliwość oglądania wytworów ich pracy, zgromadzonych na wystawie w Izbie Rzemieślniczej. Dwie sale mieściły przedmioty, z których wiele pretendowało do miana dzieł sztuki. Chyba właśnie meble najbardziej zachwycały starannością wykonania, prawidłowością stylu. Były to bowiem najczęściej kopie mebli z epoki. Wykonane z wysokogatunkowych drzew jak palisander, mahoń (to ostatnie importujemy aż z krajów afrykańskich, charakteryzuje się pięknym czerwonym kolorem, jest niezwykle ciężkie i bardzo twarde) w bogato intarsjowane, niekiedy ozdobione inkrustacją z masy perłowej — były dowodem wielkiej umiejętności naszych rzemieślników. Wśród eksponatów przeważały bidermajerowskie komody, zimlerowskie stoły, głębokie fotele, wyściełane pięknymi obiciami krzesła. I jeszcze kowalstwo — świeczniki i żyrandole odlane z miedzi lub brązu. Wiele w stylu Księstwa Warszawskiego zakończone orłem lub kaczką — tą z warszawskiej legendy, co to do tej pory pływa podobno w podziemiach pałacu Ostrojskich...

Również z brązu wykonali ślusarze okucia, zamki i kluczyki do mebli. Niewiele osób zwróciło na nie uwagę, a przecież sprawa nie jest prosta. Do stylowej np. komody czy sekretarzyka tego rodzaju dodatki muszą być zrobione w tym samym stylu co cały mebel. „Uszko od renesansu — jak powiedział pewien ślusarz — lubi być uformowane na kształcie koła, na którym układają się motywy z laurowych liści, natomiast do empira

ładą kokardki i wszystkie elementy o kształcie liry”...

To samo dotyczy ram do luster lub obrazów. Wykonuje się je ze specjalnej masy, dawną techniką na tiulu. Jednak najcenniejsze są te wyrzeźbione w drzewie i pozłacane. Można sobie wyobrazić ile trudu kosztuje wyrzeźbienie np. rokokowej wymyślnej ramy. Zresztą — rzeźba w ogóle jest niezwykle pracochłonna i poza zdolnościami artystycznymi wymaga wiele benedyktyńskiej wprost cierpliwości. Inny warszawski rzemieślnik — stolarz — pokazywał mi renesansową szafę, stół i krzesła, które jego ojciec rzeźbił... pięć lat

Te wszystkie przedmioty artystyczne powstają w starych pracowniach przy niewielkim udziale sprzętu zmechanizowanego. Zdolne ręce, duży zmysł artystyczny odgrywają tu największą rolę. W tych małych, zakurzonych warsztatach mieszczących się na peryferiach miasta, na Targowej, Żąbkowskiej, Żelaznej lub Krochmalnej praca ręczna jest preferowana ponad wszystko.

Teraz powstaje więc pytanie zasadnicze: dla kogo przeznaczona jest tego rodzaju produkcja? Wiadomo przecież, że nie są to przedmioty popularne — nie nadają się ze względu na swe rozmiary do naszych „M-3” ani też, ze względu na swą cenę, nie znajdują masowego nabywcy. Ale... właśnie przy współczesnym zmechanizowaniu świata, przy obecnej standaryzacji coraz bardziej ceni się właśnie pracę ręczną i jej unikalne wytwory. Stąd też produkcja wyrobów rzemiosła artystycznego przeznaczona jest w większości na eksport, a sławne „wiedeńskie antyki” wykonane są często rękoma polskich rzemieślników. Poza tym trwa powszechna restauracja dawnych pałaców, które przeznaczają się na muzea jak np. powstające obecnie muzeum Pułaskiego. Zdeprawowane, zniszczone wojną wnętrza zapełniają się pieczołowicie renowowanymi antykami lub ich bardzo wierne wykonane kopiami. Jest to praca trudna i czekająca właśnie rzemiosło...

Wyszło ono z wojny, podobnie jak wiele innych gałęzi naszej gospodarki — zniszczone. Pierwsze lata powojenne także nie stanowiły dla rzemiosła artystycznego koniunktury. Były bowiem sprawy pilniejsze: odbudowa i starania o własny dach nad głową. Następne lata wiadomo — dominowała wtedy błędna zasada, że rzemieślnik to prawie to samo co kapitalista. Obecnie nastąpiło właściwe w tym względzie zróżnicowanie, dla rzemiosła rozblęsnęło zielone światło, co znajduje swój wyraz w dostawach surowców i podatkowych

ulgach, ze szczególnym ich uwzględnieniem w wypadku jeśli rzemieślnik kształci ucznia.

To kształcenie nowych kadr stanowi jednak osobne zagadnienie. Wiadomo bowiem, że starzy mistrzowie, posiadający i ogromne wiadomości zawodowe i dużą etykę mimo wielkiej troski by wraz z nimi nie odszedł umiłowany przez nich zawód — nie są jednak w stanie szkolić młodzieży, gdyż nie zawsze posiadają zdolności dydaktyczne. Pozostają więc szkoły rzemiosła artystycznych, gdzie młodzież pod kierunkiem specjalnych nauczycieli uczy się pięknego rzemiosła. Niestety, panuje u nas błędne przekonanie, że rzemieślnik to coś o wiele gorszego niż np. geodeta, inżynier lub nauczyciel, często więc chłopiec lub dziewczyna posiadający uzdolnienia artystyczne — może nie takiej miary by zdawać na Akademię Sztuk Pięknych, ale na pewno wystarczające, by zostać doskonałym rzemieślnikiem-artystą — idą np. do Wyższej Szkoły Pedagogicznej lub na Politechnikę. Z trudem kończą te uczelnie — jeśli w ogóle je kończą, bo bywa i tak, że odpadają po pierwszym roku i zostają bardzo miernymi nauczycielami lub inżynierami. A przecież gdyby wybrali zawód zgodny ze swymi zdolnościami znaczyliby w nim wiele...

Jest np. w Henrykowie pod Warszawą fabryczka zajmująca się wytwarzaniem „antyków”. Od czasu do czasu w stołecznej prasie pojawiają się ogłoszenia o zatrudnieniu w niej stolarzy, rzeźbiarzy itp. Zgłaszają się tam absolwenci po technikum meblarskim z Warszawy, okolic Wyszkowa i Konina. Bardzo często jest to młodzież wiejska o uzdolnieniach artystycznych, często ci którym ze względu na standaryzację nie odpowiadają wielkie jak np. wyszkowska — fabryka mebli. Sami mówią, że ich zdaniem ten mebel jest piękny, który jest wypieszczony, indywidualny. Potrafią oni dostrzec w przedmiocie urok, zachwycić się urodą ludwikowskiego sekretarzyka, wydobyć całe piękno piramidalnie ułożonego słoja drzewa. A przecież meblarstwo to tylko jedno z licznych, a jakże pięknych rzemiosł, czekających na zdolnych wykonawców, podtrzymujących nasze najlepsze tradycje.

Komoda rokokowa (palisander) bogato zdobiona okuciami z brązu.





Poczta BURUNDI wydała serię z 8 znaczków z reprodukcjami obrazów sławnych malarzy. Na znaczkach przedstawiono: 3 F – „Madonna z Dzieciątkiem” F. Lippi, 5 F – „Magnifikat” S. Botticellego, 6 F – „Madonna z Dzieciątkiem” A. Dürera, 10 F – „Madonna Granduca” Raffaela, 11 F – „Madonna z Dzieciątkiem” A. Correggio, 14 F – „Narodziny” F. Baroccio, 17 F – „Święta Rodzina” El Greco, 26 F – „Pokłon Trzech Króli” J. B. Maino.

Znaczki zostały wydrukowane w ozdobnych arkusikach po 10 sztuk. Nakład poszczególnych wartości od 40 do 100 tys. sztuk.

J.S.

ODPOWIEDZI PRAWNIKA

Pan M. A. – Rybnik – jeśli usprawienie wykonano w formie powołania brygady racjonalizatorskiej i zawarto specjalną umowę wtedy wykonawcy przysługuje specjalne wynagrodzenie. Z listu Pana wynika, że takiej brygady nie powołano a usprawienia wykonywano w ramach normalnej pracy, czyli, że nie przysługuje wtedy specjalne wynagrodzenie. Jeśli jednak pracował Pan w godzinach nadliczbowych, wtedy należy się Panu wynagrodzenie za pracę wykonywaną w godzinach nadliczbowych na zasadach ogólnych.

*

Pan S. T. – Pieńsk – jeśli chodzi o dziedziczenie gospodarstw rolnych lub ich części, spadkodawcy dziedziczą z ustawy tylko pod warunkiem, gdy:

1) bezpośrednio przed otwarciem spadku, czyli śmiercią spadkodawcy (matki) pracowały w tym gospodarstwie nieprzerwanie co najmniej od roku albo,

2) w chwili otwarcia spadku są członkami rolniczej spółdzielni produkcyjnej lub pracują w gospodarstwie rolnym takiej spółdzielni,

3) w chwili otwarcia spadku bądź prowadzą inne indywidualne gospodarstwo rolne, bądź też pracują w gospodarstwie rolnym swoich rodziców, małżonka lub jego rodziców, albo,

4) w chwili otwarcia spadku bądź są małoletnie, bądź też pobierają naukę zawodu lub uczęszczają do szkół albo,

5) w chwili otwarcia spadku są trwale niezdolne do pracy.

PRAWNIK

Wytnij ten kupon. Opisz dokładnie sprawę w liście do redakcji, a otrzymasz bezpłatną poradę prawną.

POZIOMO: 1) nauka o lotach międzyplanetarnych, 6) przystań wodna, 7) wcześniejsze zamówienie miejsca w hotelu lub w pociągu, 10) łączy żebra, 11) uprawia hipikę, 12) jedno z państw arabskich, 13) dawna organizacja studencka, 19) arteria komunikacyjna, 24) rodzaj ogrodzenia, 25) w telewizorze, 26) towarzyski rower, 27) stażysta, 28) zajęcie dla rolnika, 29) technika uprawy kultur rolnych.

PIONOWO: 1) eks-rywalka Rzymu, 2) kwiat nazywany również gladiolą, 3) aptekarska jednostka wagi, 4) rodzaj chustki, 5) szlagger, 8) rezultat, 9) znany pisarz brazylijski, 14) duński grosz, 15) jednostka wagi, 16) bóg słońca, 17) antonim sympatii, 18) tuz, 20) strój, szata, 21) największe wzniesienie na trasie Kraków – Nowy Targ, 22) włóczęga, 23) krewny w linii męskiej, 24) autor „Damy pikowej”, 25) jednostka energii promieniotwórczej.

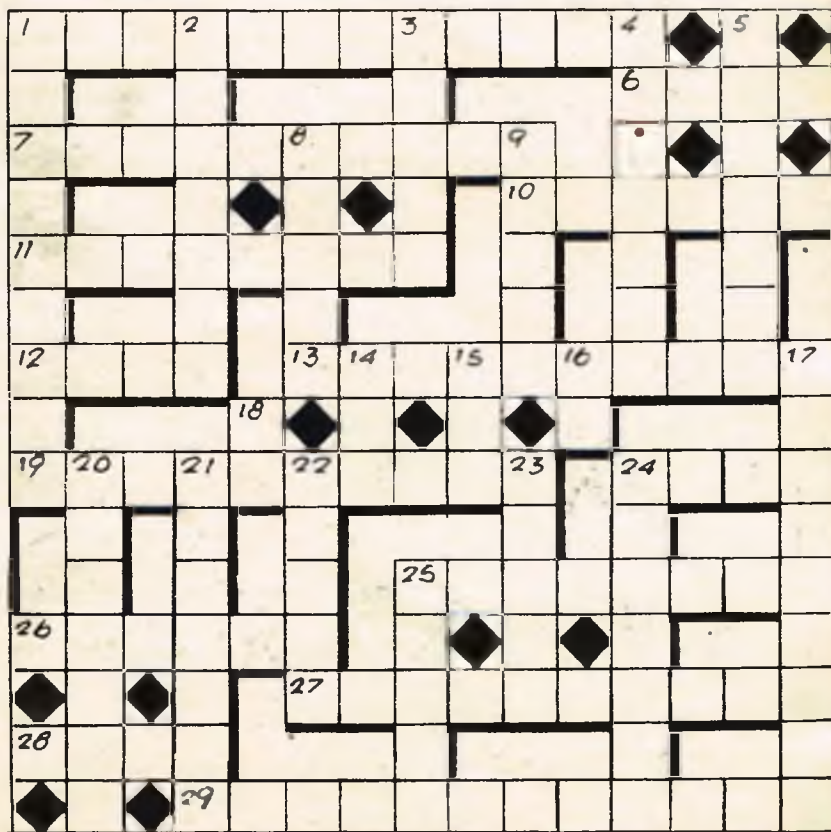
Rozwiązania należy nadsyłać w terminie 10-dniowym od daty ukazania się numeru pod adresem redakcji z dopiskiem: „Krzyżówka nr 41”. Do rozlosowania: **KOMPLET KSIĄŻEK**

ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI NR 35

POZIOMO: Saratow, Ket, anatom, Raka, Midas, kujot, nom, Kamena, mason, tor, Ob, Neron, ma los, tenis, ogonek, neł, rober, Minos, eter, powaga, sak, Balaton. **PIONOWO:** sam, Anin, Radom, ataman, TOS, om, kajet, ekonom, tatarak, rum, kanon, korek, Dolores, seter, Bogota, Niniwa, sobek, senat, Ner, Togo, mol, San, pa.

Za prawidłowe rozwiązanie krzyżówki nagrodę w postaci kompletu książek otrzymuje **KS. TADEUSZ PIĄTEK**, Ząbkowice Śląskie, ul. Głowackiego nr 5a/2

KRZYŻÓWKA Nr 41





Z ołówkiem w ręku

Zyjemy w okresie, który można by nazwać żartobliwie „erą planowania“. Wielkie, perspektywiczne plany rozbudowy gospodarki, rozwoju kultury, nauczania — oto tematy dominujące w naszej rzeczywistości. Wśród tych gigantycznych liczb znajduje się — na którejś tam

pozycji — rubryka nazwana „planowaniem budżetu rodziny“.

W skali państwowej zajmują się tym zagadnieniem sztaby ekonomistów, zespoły maszyn liczących. Niemniej jednak podstawę całego zagadnienia stanowi... ołówek w ręku pani domu. Nowoczesna rodzina pla-

nuje bowiem z góry i z góry ustala swe wydatki. Spraw bytu nie można przecież „puścić na żywioł“. Wszystkie nasze wydatki powinny być tak przemyślane, by wydawanie stało się celowe, by nie wyrzucać pieniędzy w błoto. Powstaje więc pytanie: jak należy to czynić w praktyce?

Pewna moja znajoma, znana z gospodarności, stosuje bardzo prosty sposób: po otrzymaniu pensji swojej i męża, odkłada część pieniędzy przeznaczonych na świadczenia t.j. komorne, gaz, światło. Następnie — pieniądze na wyżywienie rodziny, rozdziela w koperty. W każdej z kopert znajduje się suma przeznaczona na utrzymanie w ciągu jednego tygodnia. Jest to o tyle praktyczne, że jeżeli np. we środę zorientuje się, iż wydała za dużo — wtedy w następne dni tygodnia ogranicza swe wydatki i z żelazną konsekwencją pilnuje by nie przekroczyć budżetu tygodniowego. Niezależnie od tego zaraz po otrzymaniu pensji kupuje podstawowe a nie ulegające zepsuciu produkty, takie jak: mąka, cukier, smalec. W osobnej kopercie znajdują się pieniądze przeznaczone na środki piorące, mydła, reperacje, a w innej na drobne wydatki takie jak: kino, teatr, składki szkolne.

Pozostałe pieniądze odkłada się na książeczkę PKO. Z nich czerpie się w wypadku, gdy trzeba kupić ubranie, meble do domu lub inne droższe przedmioty.

Owa znajoma postępuje tak od lat i twierdzi, że w ten sposób zaoszczędza sobie wiele kłopotów a nawet pieniędzy, gdyż nigdy nie wydaje na rzeczy niepotrzebne i niezaplaniowane.

TLUSTA CERA

„Mam tłustą cerę i nie mogę sobie z nią dać rady. Czy muszę chodzić do kosmetyczki? Czy nie ma domowych środków, aby moja twarz ciągle się nie świeciła, aby mi nie wyskakiwały nieustannie przyszcze, abym nie miała wagrów?...“ pyta ZOFIA C.

Z tłustą cerą jest trochę kłopotów, ale... ma ona i swoje dobre strony. Otóż, prawdę mówiąc, tylko ktoś, kto ma tłustą cerę może ją opalać, poddawać działaniu wiatrów — a nawet korzystać z lampy kwarcowej — i to przez cały rok. Tylko osoby po 50-tce, o ile jeszcze mają cerę tłustą (raczej rzadkie wypadki) powinny unikać słońca, lampy i koniecznie leczyć się u lekarza lub dobrej kosmetyczki.

Na ogół tłustą cerę miewa się za młodu, a z wiekiem cera tłusta zamienia się na normalną, a nieraz i na suchą. Ale dzięki temu ci, co w młodości mieli cerę tłustą i bardzo o nią dbali — przez długie lata nie mają zmarszczek. W każdym razie mają je o wiele później, niż osoby o cerze suchej, a nawet niż osoby o cerze normalnej — a ile, powtarzam, o tę swoją tłustą cerą naprawdę dbali. Ale... jak dbać?

Myć ciepłą wodą i mydłem nawet i 3—4 razy dziennie. Zadnego kremu nie wklepywać, bo skóra sama dość tłuszczu wydziela.

Jeśli go wydziela zbyt wiele, to można zmywać twarz spirytusem salicylowym, albo spirytusem Hoffmanna (mieszanka 3 części spirytusu i 2 części eteru). Takie odtłuszczanie cery zaleca się zwykle... nastolatkom, u których na podłożu łojotoku występuje trądzik pospółty.

Gdybyście przypadkiem odtłuścili sobie skórę zbyt mocno — tak, że naskórek zacząłby się łuszczyć, trzeba natychmiast przerwać takie przemywanie, a czyściutko umytą cerę nakremować — najlepiej — kremem nawilżającym.

Jeśli nie możecie jakoś pozbyć się tego trądzika, to możecie stosować przecieranie skóry preparatem Acnosam, a na noc, po umyciu twarzy — wetrzeć w skórę nieco kremu przeciwtrądzikowego o nazwie „PT“.

Dobrze by też było, aby co 6 tygodni chodzili na zabieg do gabinetu kosmetycznego, gdzie dokładnie oczyści się cerę, usunie zaskórники (czyli „wagry“, a więc czopki łojowe, zatykające ujścia gruczołów łojowych).

Od czasu do czasu np. raz na tydzień, warto sobie samemu zrobić maseczkę odświeżającą cerę.

1. Maseczka zielona. Taką gotową maseczkę dla cery tłustej można nabyć w sklepach zielarskich.

2. Maseczka mleczno-drożdżowa. Utrzeć nieco drożdży z dodatkiem słodkiego, ciepłego mleka na gęstą papkę i rozsmarować po czyściutko umytej twarzy. Zmyć, jak wyschnie, tj. po ok. 10—15 minutach.

3. Maseczka białkowo-cytrynowa. Ibić troszkę białka na sztywną pianę, dodać trochę soku z cytryny i odrobinę alunu. Jest to maseczka nie tylko odtłuszczająca, odżywcza i oczyszczająca, jak dwie poprzednie, ale i ściągająca, czyli że nadaje się najbardziej na cery o rozszerzonych porach.

Dwie pierwsze maseczki zmywać po ok. 10 minutach, ciepłą wodą, a maseczkę ściągającą — wodą zimną.

Dla nastolatków i nastolatków z cerą tłustą — najlepsza jest maseczka mleczno-drożdżowa (przy rozszerzonych porach — ściągająca), a dla osób dorosłych — maseczka zielona.

BELLA





Pan Henryk Ł. z Nowej Soli zainteresował się egzegezą (wyjaśnieniem) ewangelijnego tekstu Mt. 16, 18 mówiącego o św. Piotrze i o budowaniu Kościoła Jezusa Chrystusa na „opoce”. Podaje trzy własne uwagi: 1) Według rzymskokatolickiej „Biblii tynieckiej” (Wyd. II z 1969 r.) wyraz grecki „Petros” znaczy „skała”. Wprawdzie to samo znaczy po grecku „petra”, lecz Chrystus przemawiał nie po grecku a po aramejsku, w którym to języku dla „Petros” i dla „petra” jeden jest tylko wyraz „Kefa”. 2) Rzymskokatolicki autor książki pt. „Spotkania z Biblią” na s. 24 poucza tak samo, mianowicie pisze: „Chrystus Pan nie nazwał Szymona Barjona po grecku „Petros”, ale po aramejsku „Kefa”, co się wyklada „Opoka” — jak wyjaśnia Ewangelista Jan 1, 42”. 3) Według wystarczających danych Ewangelia św. Mateusza była pierwotnie zredagowana po aramejsku, czego ślady są do dzisiaj w tejże Ewangelii”.

Nasze stanowisko wyrazimy odrzuceniem pewności co do „zredagowania” pierwszej ewangelii w innym języku niż greka. Zarówno poprawny język grecki i poprawny styl jak i to, że nikt nie widział oryginału aramejskiego — skłania nas do przyjęcia za pewne, że pierwszą ewangelię napisano od razu w języku greckim. Tego zdania są też rzymskokatolicki bibliści Niemiec Zachodnich, którzy wydali „Lexicon für Theologie und Kirche” w 1962 r. za zgodą arcybiskupów z Fryburga i Regensburga.

Wcale nie jest rzeczą pewną, że w języku aramejskim zarówno imię „Piotr” jak i rzeczownik „opoka” znaczy wyłącznie „Kefa”, ponieważ na oznaczenie opoki (skały) język ten ma jeszcze słowo „zur”. Zatem nie wolno twierdzić, że w ewentualnym tekście aramejskim (jeżeli taki w ogóle istniał) wyraz „Kefa” występował aż dwa razy („Ty jesteś Kefa i na tej Kefie zbuduję Kościół mój”). Mogło być inaczej („Ty jesteś „Kefas” a na tej „zur” zbuduję Kościół mój”).

Na koniec uwaga pod adresem tłumaczy „Biblii tynieckiej”. Oto tłumacz czwartej ewangelii, ks. Jan Drozd, w cytowanym wyżej zdaniu („co się tłumaczy „Piotr”) nie odważył się dodawać do tekstu własnych wtrętów (np. w rodzaju dopowiedzi „czyli skała”). Chylimy więc przed nim czoło. Natomiast tłumacz pierwszej ewangelii, ks. Walenty Prokulski (jezuita!) bez skrępowań pisze: „Ty jesteś Piotr (czyli skała) i na tej skałce...”. Takie postępowanie trudno nazwać sumiennym. (Dodajmy, że grecki spójnik

„kai” oznacza „i”, lecz oznacza też rozdzielające „a” czyli konsekwentnie ks. Prokulski winien pisać: „Ty jesteś Piotr (czyli Skała) i (albo a) na tej skałce...”

Pani E. N. z Krakowa rzuca nam dziewięć pytań obracających się wokół małżeństwa Marii z Józefem czyli św. Rodziny. By nie przedłużać sprawy i zaoszczędzić miejsca, pominiemy pytania, podając same odpowiedzi, z których można się zorientować, o co chodzi.

Znaczna większość chrześcijaństwa wierzy, że dla Marii z Nazaretu (Matki Bożej) Jezus Chrystus był dzieckiem pierwszym i ostatnim. Nie ma na to „miarodajnych” dowodów, więc tutaj nie mówi się o wiedzy, lecz o wierze. Wymienieni w Nowym Testamencie bracia i siostry Jezusa byli Jego kuzynostwem.

Sam fakt urodzenia dziecka wyklucza u jego matki „dziewiczość”, lecz znaczna większość chrześcijaństwa wierzy, że Jezus Chrystus narodził się „z Maryi Dziewicy” (Symbole wiary). Jest rzeczą oczywistą, że można to wytłumaczyć tylko cudem.

Nic nie wiadomo, co się stało ze św. Józefem w tym okresie, gdy Chrystus działał publicznie. Chyba już nie żył. Nie są znane okoliczności jego śmierci.

Maria Panna zawarła ze św. Józefem najpierw narzeczeństwo, nic nie wiedząc o swoim przeznaczeniu na Bogarodzicielkę. (Była zdziwiona w momencie Zwiastowania — Łuk. 1, 29). Związek małżeński został zawarty już po Zwiastowaniu w celu osłony wielkiej tajemnicy Bożego Wcielenia. Wskazuje na to tekst Mat. 1, 18 n.

Nie wiadomo, czy rodzice Jezusa (św. Józef był Jego rodzicem tylko prawnym) mieli rodzeństwo. Wprawdzie w ewang. Jana (19,25) czytamy, że pod krzyżem stały trzy Marie: Matka Jezusowa i „jej siostra” (też Maria), lecz mogła to być siostra cioteczna.

Nie posiadamy żadnych „miarodajnych” wiadomości o „prywatnym” życiu św. Rodziny i Apostołów. Ten brak usiłowały pokryć przeróżne opowieści apokryficzne.

Żadne źródła historycznie nie podają daty narodzenia Jezusa Chrystusa. W pierwszych czterech wiekach chrześcijaństwo nie chciało się wypowiadać, ponieważ musiało myśleć o obronie wiary w bóstwo Chrystusa.

Dokładną datę starał się podać w V wieku rzymski uczyony mnich, Dionizy Mały (zm. ok. 450 r.), który wprowadził do kalendarza liczenie lat od narodzenia Chrystusa (erę chrześcijańską), lecz się pomylił i datę tego wydarzenia podał o kilka lat za późno — przypuszczalnie o 4 lata. Twierdził mianowicie, że Chrystus Pan urodził się w 750 r. „od założenia Rzymu”, gdy tymczasem wiadomo niemal na pewno, że w tym właśnie roku zmarł ów Herod, który polecił zamordować Dzieciątka z Betlejem. Uczeni bibliści są też za tym, aby datę (rok) Narodzenia Chrystusa przesunąć nawet na rok 7 „przed narodzeniem Chrystusa”. Nie znają jednak miesiąca ni dnia tego wydarzenia. Uznana powszechnie (w chrześcijaństwie łacińskim) data 25 grudnia jest umowna. Pochodzi z końca IV wieku. Powiązano ją ze starożytnym świętem na cześć „Niezwykniętego Słońca”.

Nie można dokładnie określić również daty śmierci Chrystusa na krzyżu. Mógł to być rok 30 „po narodzeniu Chrystusa” (czyli nowej ery kalendarzowej) lub też rok 33 a dzień — piątek 3 lub 7 kwietnia. Publiczna działalność Jego trwała 3 lata. Tak wyliczyli uczeni, którym można wierzyć.

Zdajemy sobie sprawę, że nasze uwagi nie wyczerpują poruszonej tematyki, więc skierowujemy Czytelniczkę z Krakowa do szczegółowych monografii. Spis ich może podać biblioteka Chrześcijańskiej Akademii Teologicznej, Warszawa, ul. Miodowa 21. Pozdrawiamy.

Pan Stanisław B. z Katowic zainteresował się kultem prawosławnym i w związku z tym pyta, dlaczego w polskich cerkwiach prawosławnych nabożeństwa odprawia się w mowie dla Polaków niezrozumiałej, skoro nawet Kościół Rzymskokatolicki zrezygnował z łaciny właśnie na rzecz zrozumiałości modłów.

Nietrudno zauważyć, że tego rodzaju pytanie należałoby skierować bezpośrednio do władz Kościoła Prawosławnego w Polsce. Nam wolno się tylko domyślać, że język starocerkiewny używany w polskich cerkwiach jest właśnie dla wszystkich wiernych zrozumiały. Oczywiście, że rozumiały byłby również język polski ale to sprawa zamiłowań samych prawosławnych, a o tym trudno dyskutować. Pozdrawiamy.



Płonne — zabytkowy kościół parafialny z XV wieku, przebudowany w XVI wieku przez Erazma Kretkowskiego

ŚLADAMI FRYDERYKA

Obchodzona niedawno 120 rocznica śmierci Fryderyka Chopina skłoniła reporterów do przeglądu kart jego biografii, a to z kolei zaprowadziło go do Szafarni — miejscowości na ziemi golubsko-dobrzyńskiej, gdzie w latach 1824—1825 przebywał

młody Fryderyk w gościnie u państwa Dziewanowskich, rodziców swego kolegi szkolnego. Rozdział to w życiu Chopina mało znany, rzadko podejmowany przez publicystykę — choć jawi się w nim nasz wielki muzyk nieprozaicznie — jako utalentowany karykaturzysta i redaktor sławetnego „Kuryera Szafarskiego”.

Podówczas w pierwszej połowie XIX wieku Szafarnia była folwarkiem rodziny Dziewanowskich, do którego należała i okoliczna wieś Płonne. Było tam wszystkiego 9 domów i 122 mieszkańców — ale dwór Dziewanowskich, położony w pięknym parku, nad rozlewiskiem strumyka, malowniczo przegładający się w wodzie — posiadał urok wiejskiej rezydencji, atmosferę sielskiego życia w korespondencji z otaczającą go przyrodą. Młody Fryderyk przyjechał tam po raz pierwszy na wakacje szkolne 1824 roku. W środowisku przyjął się pomysł wydawania jedyne w swoim rodzaju pisma — nazwanego „Kuryerem Szafarskim”, którego cenzorem była pani Ludwika Dziewanowska. Obok innych pisał doń i rysował również młody Chopin, a cenzorka swojej poświęcił znaną skądinąd humoreskę muzyczną —

W SZAFARNI
I WSIACIE OKOLICZNYCH
PRZEBYWAŁ W LATACH
1824—1825
FRYDERYK CHOPIN
W OSMYM ROKU ISTNIENIA
POLSKIEJ LUDOWEJ
SZKOŁY W SZAFARNI
NAZWANO
JEGO IMIENIEM
1952

Tablica pamiątkowa poświęcona Fryderykowi Chopinowi

„...Nie ma wesela, nie ma muzyki
gdzie by nie było panny Ludwiki...”

Pismo miało charakter patriotyczny, tak jak patriotyzmem przepojony był cały dom Dziewanowskich. Żyli przecież jeszcze podówczas świeże wspomnienia legionowe, walk napoleońskich. Jeden z Dziewanowskich, Jan — rotmistrz wojsk napoleońskich, bohater spod Somosierry, tak pięknie opiewany w powieściach Wacława Gąsiorowskiego był dla młodych wzorem męstwa i odwagi, dawał przykład gorącego umiłowania ojczyzny.

Do dziś zachowały się w Szafarni i w Płonnem pamiątki z tych czasów. Stoi dwór Dziewanowskich, w którym mieści się szkoła nazwana imieniem Fryderyka Chopina. Obok zabytkowego kościoła w Płonnem, pochodzącego z XV/XVI wieku, znajduje się pomnik ufundowany przez wdzięcznych rodaków Janowi Dziewanowskiemu. Na trójbocznym obelisku wyryte są słowa Napoleona skierowane do bohaterów szarży spod Somosierra — „Pour mes Polonais rien d'impossible” — Dla moich Polaków nie ma nic niemożliwego”. Pamiątki te warto obejrzeć w wędrowce turystycznej, wspominając przy tym lata odległe i ludzi, którzy zapisali się złotymi zgłoskami w naszej narodowej historii i kulturze. (Mon.)

Fot. MACIEJ STANKIEWICZ

Dzwonnica przykościelna w Płonnem



Dwór Dziewanowskich w Szafarni

